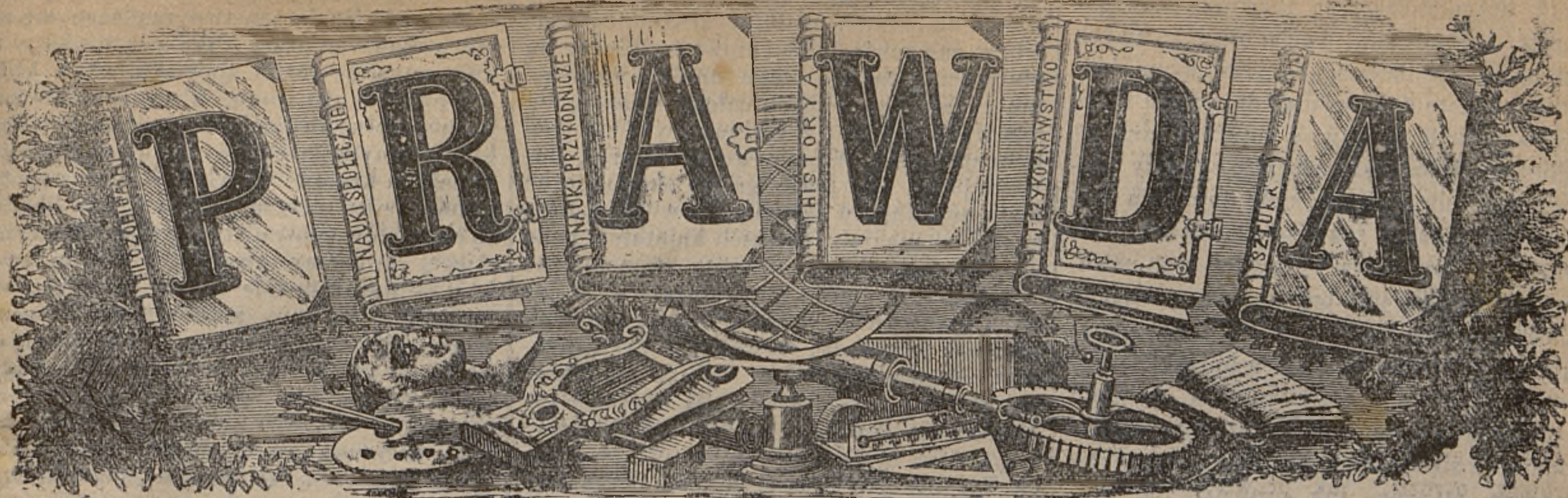
№ 50. Warszawa, dnia 14 (2) Grudnia 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

NASZE WYDAWNICTWA.

Na początku roku przyszłego wydamy dwie już opracowane książki, których przedmiotem będzie dziecko. Jedna z nich, przeznaczona dla rodziców i opiekunów,

PSYCHOLOGIA DZIECKA

zawrze wyniki naukowe i wskazówki praktyczne, odnoszące się do pierwszych lat życia człowieka. Druga zaś

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

(ilustrowana) stanowić będzie słownik odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie dziecku nasunąć się mogą.

Prawda w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową postacią i na dotychczasowych warunkach. Prosimy o nadsyłanie przedpłaty **wcześnie** i o ile można do Administracyi naszej **bezpośrednio**.

POLITYKA.

KUSICIELE.

Do najszpetniejszych i najniemoralniejszych tworów sztuki politycznej w naszych czasach należą niewątpliwie tak zwani *agents provocateurs*. Istotnie chyba z szatanów wzięto model tych ludzi. Nie są to bowiem szpiedzy i wywiadywacze, ale kusiciele, którzy naprzód tworzą przestępców, a potem ich oskarżają. Procesy sądowe w rozmaitych krajach Europy odsłoniły światu tajemniczą ich robotę. Zawiązują oni stowarzyszenia socyalistyczne, werbują im członków, miewają na zebraniach podburzające mowy, nakłaniają do buntów i morderstw, a gdy swych wychowańców i towarzyszów należycie wykształcili—wydają ich w ręce policyi. Jeden z takich płazów w Prusach — jak udowodniono sądownie — założył laboratoryum, gdzie uczył wyrabiać bomby, dostarczał materyałów wybuchowych, pokonywał wymową opornych, którzy nie chcieli przykładać ręki do zamachów, a jednocześnie ich denuncyował. W świeżej pamięci mają jeszcze czytelnicy sprawę Wohlgemutha, który zapomocą niejakiego Lutza usiłował „lustig wühlen" w Szwajcaryi, ale go złapano i zdemaskowano. Zarówno z tej sprawy, jak z wielu podobnych rząd niemiecki wyszedł mocno skompromitowany, tem bardziej, że miał ich na swem sumieniu za dużo i że wyhodował „Lockspitzlów" najwięcej. Zwłaszcza były minister spraw wewnętrznych Puttkammer trudnił się tą hodowlą z zamiłowaniem, które uczciwych ludzi zdumiewać może.

Wszelkie przykłady są zaraźliwe. Niemców naśladowała Belgia, której ministeryum klerykalne, będące obecnie przy władzy, pozazdrościło sławy i powodzeń w tym kierunku Puttkamerowi i sprawiło sobie również *agents provocateurs*. Niektórzy z nich zostali jak krety wykopani podczas procesu o słynne rozruchy w Mons. Okazało się bowiem, że oskarżeni byli narzędziami agentów i ich dowódcy, dyrektora policyi, Gautiera de Rasse. Ale ten znowu zeznał, że głównego kusiciela narzucił mu minister de Volder. Z tych odkryć i zeznań wynikł nowy proces, wytoczony kowalom z pominięciem ślusarza, który głównie zawinił. Na ławie oskarżonych zasiadł tylko dyrektor policyi i agenci — bez ministra. Wszystkich od kary za podżeganie uwolniono — ale jak wszędzie i tu wylazły na wierzch czyny, wołające o pomstę do sprawiedliwości, która też po części władzę swą okazała. Mianowicie dowiedziono, że mniemani stróże bezpieczeństwa publicznego gromadzili dynamit w celach przestępnych, naturalnie dla uzbrojenia nim rąk ofiar swoich. Za to ich ukarano, a dyrektor policyi został złożony z urzędu przez ministra — za co? Za to, że spełniał rozkazy tego ministra i przyjmował jego podżegaczów. Rzadko bezwstyd ma bardziej wytarte czoło. „Zaledwie wierzyć można własnym uszom — powiada jedna z gazet niemieckich — czytając taki zarzut ze strony ministra, który dyrektorowi policyi sam narzucił agenta (Pourbaix) ze świadomym celem. Jeżeli Gautier de Rasse zasłużył na dymisyę za to, że usłuchał swego zwierzchnika, to na co zasłużył ów zwierzchnik?" Opinia ludzi uczciwych odpowiednim wieńcem już czoło mu ozdobiła, ale Izba, posiadająca w swem łonie przewagę żywiołów obecnemu rządowi przyjaznych, naturalnie podała Piłatowi wodę do obmycia rąk z wszelkiej winy. Uznała, że utrzymywanie *agents provocateurs* nie jest chwalebnem, ale że w tym wypadku cień moralny i odpowiedzialność spoczywają jedynie na dyrektorze policyi — koźle ofiarnym.

Jak na jezuitów przystało, sprawiono się po jezuicku — i właściwie nie powinno to nikogo ani dziwić, ani oburzać. Owszem, i tu sprawdza swą słuszność zasada: im gorzej — tem lepiej. Im bardziej klerykalizm belgijski brnąć będzie w błoto tego rodzaju, tem prędzej skończą się dni jego panowania. A skończyłyby się już dawno, gdyby zasługujący skądinąd na szacunek król nie był pedantem konstytucyjnym i nie osłaniał doradców korony, którzy wprawdzie— dzięki niezgodzie w szeregach liberałów — wyszli z przypadkowej większości parlamentu, ale zwłaszcza teraz wcale nie wcielają w sobie dążeń i zasad większości narodu. Tym uporem monarcha belgijski naraża swą popularność, której dotąd używał i na którą zasłużył.

Nie oddając się złudzeniom, można jednak przypuszczać, że Iheringi, Wohlgemuthy i Pourbaix, wyciągnięci ze swych nor na światło dzienne, odbiorą swym opiekunom ochotę do utrzymywania zgrai kusicielów i podżegaczów a zarazem denuncyantów. Wszelkie niezgniłe żywioły społeczne, wszelkie niezbrukane sumienia muszą się oburzać na taką robotę. Jeżeli jakiś minister śledzi i więzi burzycieli tego ustroju, którego on jest organem — postępuje konsekwentnie; ale jeżeli on przez zamaskowanych agentów takich burzycieli wytwarza, jeżeli ich zaopatruje w dynamit i popycha do czynów przestępnych — to dopuszcza się zbrodni, której żaden kodeks, zarówno etyczny jak prawny, nie rozgrzesza.

LISTY O GALICYI.

II.

Stronnictwa polityczne. — Wybory do sejmu.

W poprzednim liście (w nr. 44 *Prawdy*) podałem szkic systemu reprezentacyjnego w Austryi i na tem tle uwydatniłem odnośne stosunki galicyjskie. Pisząc o Galicyi, niepodobna traktować ją oddzielnie; losy jej bowiem związane są ściśle z polityką monarchii. Rozwój jej przemysłu, handlu, szkolnictwa równie dobrze zawisł od każdoczesnego stanu spraw ogólno-państwowych, jak i stosunki polityczne w ściślejszem znaczeniu, a zatem: prawodawstwo, administracya, uprzywilejowane stanowisko tej lub owej klasy itd. W pracach z ostatniego lat dziesiątka, wykazujących, na jakim stopniu nędzy znajduje się Galicya, nie uwzględniano danych historycznych, a jeżeli porównywano stan kraju z innemi prowincyami cesarstwa, to miano głównie na oku sprawy ekonomiczne. A wszakże sprawy te zespolone są najistotniej z politycznemi, wszak między niemi istnieje wzajemne oddziaływanie. W rozbiorze zjawisk społecznych wydzielamy wprawdzie z nich pojedyncze grupy, zmusza nas bowiem do tego metoda logiczna; lecz po ukończeniu analizy części składowych zwracamy się znowu do całości, usiłując zrozumieć wzajemną zależność jej czynników. Zdarza się najczęściej, że to, czego analiza wyjaśnić nie mogła, po objęciu całości staje się dla nas zrozumiałem. Z rozbioru systemu parlamentarnego, panującego w Austryi, dowiadujemy się, jakie grupy ekonomiczne mają przewagę w rządzie. Od wielkiej własności ziemskiej, wielkich kapitałów pada długi, czarny cień na interesy ekonomiczne włościan i drobnego mieszczaństwa. W innych państwach widzimy również upadek drobnej produkcyi w walce o byt z przemysłem wielkim, lecz formy, w jakich przejawia się ten proces, są nowoczesne. W Austryi tradycye średniowieczne dotąd mają siłę żywą. Od wyborcy lub posła (w Tyrolu) dziś jeszcze żąda się pergaminu szlacheckiego! Drugą charakterystyczną cechą tego systemu jest prowincyonalizm. Nie rozumiem przez to prowincyonalnego samorządu; na takim opiera się federacya demokratyczna. Prowincyonalizm austryacki ma swój pierwowzór w odległych wiekach. Dawniej książęta i baronowie rządzili w prowincyach wszechwładnie; dziś konstytucya ograniczyła samowolę panów, lecz lwia część władzy pozostaje w rękach szlachty. Dawniej jedna dzielnica rozwijała się kosztem drugiej, dziś... nędza Galicyi zaświadczyć może o opiece rządu, protegującego tylko niektóre kraje austryackie. Nie chcę dalej zastanawiać się nad analogicznemi cechami; system Metternichowski nie jest dziś wcale objawem szczątkowym. Hr. Taaffe słusznie nazwać się może spadkobiercą idei owego kuglarza politycznego. Przeciętny galicyanin sądzi, że pływa w autonomii, jak szczupak w sosie. Oszałamiają go poprostu takie słowa, jak np. sejm krajowy, rady powiatowe, swojska biurokracya itd. Dodam do tej litanii — swojskie łotry, swojska nędza i swojska ciemnota. Galicyanin jest pod każdym względem osobnikiem wielce ciekawym. Przed peszteńską policyą legitymował się ze swej narodowości pewien właściciel ziemski z Galicyi w sposób następujący: „Ich bin ein k. k. galizischer griechisch-unirter Armenier aus dem Kolomyer Kreise“ (jestem c. k. galicyjskim grecko-unickim ormianinem z powiatu kołomyjskiego). Dziś tytuł się uprościł, w skróceniu brzmi on: c. k. galicyanin lub c. k. polak. Ten c. k. polak nie rozumie oczywiście etymologii wyrazu: samorząd. Społeczeństwo rządzące się same, a rządzone przez klikę szlachecką — to dwa zupełnie różne zjawiska. Owa klika jest podnóżkiem tronu, filarem rządu centralnego, przeciwdziałającego z zasady wszelkim istotnym dążeniom do autonomii pojedynczych krajów. W Galicyi nieraz spotykałem ludzi utrzymujących iż: „za liberalnych rządów centralistycznego ministeryum więcej mieliśmy swobód.“ Więcej swobód! — wszak to tyle znaczy, co więcej samorządu. Istotnie, swobód było wówczas więcej. Reformy liberalne, odnoszące się do pewnych zakresów życia społecznego, wpływały też na inne sprawy, budziły zajęcie się ogółu interesami publicznymi; prasa nie była narażoną na konfiskaty w tym stopniu, co dzisiaj za rządów „autonomisty“ Taaffego; podczas wyborów rząd nie popełniał takich, jak obecnie, bezeceństw ze szkodą ludu a na korzyść szlachty i biurokracyi. Niemiecki rząd centralistyczny był wrogiem samorządu krajów słowiańskich— w tej mierze trudno się łudzić; wszakże nie podobna zaprzeczyć, iż reformy uchwalone przez mieszczaństwo liberalne oddziaływały pośrednio na rozwój autonomii. Dążenie do samodzielności, świadomość polityczna bodaj czy nie były potężniejsze w siódmym dziesiątku lat, aniżeli później, gdy nastały rządy Taaffego. Dziś zastęp niezadowolonych z jego systemu codzień wzrasta. Reakcya dała się we znaki zarówno centralistom, jak i autonomistom. Tylko szlachta i żywioły klerykalne pragnęłyby, ażeby Austrya, stanąwszy raz na gruncie tego systemu, nie postąpiła ani o krok naprzód.

Zajrzyjmy do gniazda reakcyi galicyjskiej. Przedstawicielką jej jest przedewszystkiem przeważna większość szlachty. Właściciel większej posiadłości — postępowiec stanowi u nas nader rzadki okaz. Galicyjska szlachta jest warstwą złożoną z bankrutów ekonomicznych i moralnych. Powołujemy na świadectwo glos szlachcica H. Jasieńskiego. W znanym obrazku tego autora p. t. „Nędza na Rusi“ znajduje się ustęp charakterystyczny: „Wszak lada (!) farmer angielski, lada mieszczanin francuski, lada włościanin szwajcarski ma jakąś oszczędność, jakiś fundusik... tylko na Rusi nic niema ni u pana, ni u chłopa, krom weksłów, kwitków i długów tabularnych.

SPOWIEDŹ

przez

Guy de Maupasanta.

Małgorzata de Thérelles umierała. Jakkolwiek nie miała ona więcej nad lat pięćdziesiąt, wyglądała jednak na siedemdziesiąt kilka. Trzęsła się teraz całem ciałem na łożu boleści, rzucona dreszczem konwulsyjnym konania — twarz jej przerażająco blada, oko błędne, rysy strasznym wykrzywione bólem, świadczyły, iż w tej chwili ostatniej straszne ją jakieś dręczyły widziadła.

Siostra jej, Zuzanna, o lat sześć starsza, klęczała przy jej łożu, szlochając rozpacznie.

Na niewielkim stoliku, tuż przy umierającej, paliły się dwie woskowe świece — oczekiwano bowiem księdza z ostatnią posługą i ostatniem słowem doczesnego rozgrzeszenia.

Otoczenie całe miało ten wygląd grobowy, jaki posiadają zwykle mieszkania konających w rozpacznej godzinie pożegnania z tym światem. Dokoła pełno flaszek i flaszeczek, tu i tam porozrzucana bielizna, meble w nieładzie, jak gdyby grozą tej chwili tchnące, ruchome, mimo martwoty swojej. Straszliwe widmo śmierci z każdego czyhało kąta na porwanie swojej ofiary.

Historya tych dwu sióstr była rozczulającą — opowiadano ją sobie daleko, wyciskając z oczu łzy tkliwe.

Starsza, Zuzanna, była kiedyś namiętnie kochaną przez człowieka, którego ona również kochała gorąco. Byli zaręczeni i czekali już tylko oznaczonego dnia ślubu, gdy nagle Henryk de Sampierre rozstał się z tym światem. Rozpacz młodej narzeczonej była straszna — przysięgła też sobie nigdy za mąż nie wyjść.

Dotrzymała słowa — włożyła szaty wdowie i nigdy już ich nie zdjęła.

Siostra jej, mała Małgorzata, która miała podówczas zaledwie lat czternaście, rzuciła się dnia jednego w ramiona starszej, mówiąc:

— Duża siostrzyczko, nie chcę, żebyś ty była nieszczęśliwą — nie chcę, żebyś całe życie płakała w osamotnieniu. Ja cię nie opuszczę nigdy, nigdy, nigdy! Ja również nigdy za mąż nie wyjdę, pozostanę przy tobie zawsze, zawsze, zawsze!

Zuzanna uściskała ją, wzruszona takiem przywiązaniem małej, nie biorąc oczywiście słów tych na seryo.

Ale „mała“ dotrzymała słowa i pomimo próśb rodziców, pomimo nalegań starszej siostry, za mąż wyjść nie chciała.

A była ładną, bardzo nawet ładną — odmawiała też wielu młodym ludziom, którzy nią szczerze byli zajęci i pozostała przy swej starszej siostrze na zawsze.

Przeżywały wspólnie długie dni swego życia, nie rozłączając się ani na chwilę. Chodziły zawsze pod rękę, zawsze i wszędzie razem. Ale Małgorzata była zazwyczaj smutna, jakby przybita, ponura nawet, niby złamana tem swojem poświęceniem niezwykłem.

Prędko też postarzała — w trzydziestym roku miała już włosy siwe; często bardzo zapadała na zdrowiu, jak gdyby w ciągłej walce z jakiemś złem nieznanem, które ją pożerało.

Umierała też pierwsza.

Od dwudziestu czterech godzin nie mówiła już wcale; nagle jednak wyrzekła:

— Księdza, księdza co prędzej — godzina moja wybiła.

Leżała teraz na wznak, wstrząsana spazmem straszliwym, poruszając konwulsyjnie ustami, jakby wyrzucić chciała słowa, które jej przejść przez gardło nie mogły — strasznie było patrzeć na tę jej mękę.

Siostra jej, szarpana bólem, łkała rozpacznie z czołem na krawędzi opartem.

— Małgosiu, moja biedna Małgosiu, moja mała siostrzyczko! — wołała wśród łez.

Nazywała ją zawsze „małą,“ zarówno jak młodsza dawała jej zawsze pieszczotliwe miano „dużej siostrzyczki.“

Na schodach posłyszano kroki — drzwi się otworzyły. Wszedł chłopiec kościelny,

Zaprawdę, tak wielkich żebraków w całej nie masz Europie.“ To samo mniej więcej powiedzieć można o panach i chłopach w Galicyi zachodniej. Czwartą niemal część (23·56%) ludności obszarów dworskich w Galicyi stanowią żydzi (T. Rutowski. *Rocznik statystyki przem. i handlu kraj.* zeszyt IX. r. 1888). Bankruci wyparci ze swych posiadłości powiększyli szeregi... antisemitów. Kto bowiem ma dług u żyda, ten z natury rzeczy musi być antisemitą. Utracyusze zostali przyjęci na łono autonomii, która wyznaczyła im dalsze płatne posady w radach powiatowych i innych instytucyach krajowych. Z ostatniego sprawozdania Banku krajowego okazuje się, że od czasu założenia go (1883) po r. 1888 udzielono wielkiej własności 232 pożyczek w kwocie 8,182,000 złr. A cóż dostała drobna własność chłopska? Musiała się zadowolić sumą dziesięćkroć mniejszą: 814,050 złr. „Starsza brać“ ma dobry apetyt, więc młodzi cierpieć muszą. Szlachta umie tylko brać i rządzić, ale nie dawać. Przed 30 laty pisał Szujski: „Szlachta jest alfą i omegą narodu.“ Gdyby tak być miało, naród byłby bankrutem... Sojusznikiem szlachcica jest ksiądz (nie rusiński). Gdy się zważy, że w Galicyi jeden lekarz ciała przypada na 6 tysięcy z górą mieszkańców, jeden zaś t. zw. lekarz ducha na 1,200 ludności, że przeciętnie każdy galicyanin płaci 1 złr. 20 cent. na utrzymanie duchowieństwa, że na mieszkańca Galicyi przypada rocznie tylko 10 kilogr. mięsa. Domaga się tego szlachcic.., wspomniany już H. Jasieński, mówiąc o reformach radykalnych organizacyi kościelnej, do których w pierwszym rzędzie zalicza: „zmniejszenie ilości parafij.“

Jak „alfa i omega narodu“ spełnia obowiązki obywatelskie, o tem powiadamia nas statystyka. Podczas wyborów sejmowych w 1876 z pośród uprawnionych wyborców z wielkiej posiadłości głosowało tylko 15·8%, w r. 1883 tylko 5·5%! Z pomiędzy uprawnionych wyborców włościańskich stawiło się w dzień wyboru w odpowiednich latach 32% i 25·8% Zszargał się honor szlachecki, machnąwszy ręką na obowiązek i dobro publiczne, zdrzemnął się przy zielonym stoliku. Chłop zawstydził pana galicyjskiego... nie, nie zawstydził, ten pan bowiem jest bezwstydny.

Przedstawiciele żywiołów szlacheckich tworzą stronnictwo wsteczne, które podzielić można na dwie grupy: zachodnią (stańczycy) i wschodnio-galicyjską (podolacy). Szczepanowski w *Nędzy Galicyi* trafnie charakteryzuje jednych i drugich. Podolacy są przedpotopowi, ciemni, stańczycy potrafili się lepiej przystosować do warunków nowoczesnych. Ale ideały, zamiary, dążenia jednych i drugich są te same. Wspomnieć jeszcze wypada o ateńczykach galicyjskich. Minerwa jęknęłaby z bólu i okryłaby się rumieńcem na widok *takich* ateńczyków! A może zaśmiałaby się serdecznie. Perykles i p. Wojciech Dzieduszycki... ale wracajmy do rzeczy. Ateńczycy są umiarkowani, na drzewie szlacheckiem szczepią płonki liberalizmu, sądząc, że wierzba urodzi gruszki. Zapomniałem się jednak, ateńczycy już nie istnieją, podczas minionej sesyi sejmowej przyszło do układów z prawicą. Wstecznictwo jest zagrożone, ateńczycy pośpieszyli mu na ratunek. Nastąpiło zespolenie żywiołów zachowawczych w „lużne“ stronnictwo. W sejmie niema już środka (centrum). Dawny atoli nie był nigdy środkiem ciężkości, ten bowiem leżał zawsze po prawicy.

Marx w „Ośmnastym Brumaire'a Ludwika Bonaparte“ podaje świetną charakterystykę motłochu, otaczającego Napoleona III. Motłoch ten, znany pod nazwą Towarzystwa 10 grudnia, składał się ze zniszczonych hulaków, zbankrutowanych do szczętu, awanturujących się latorośli mieszczaństwa, włóczęgów, próżniaków, szulerów, kuglarzów, żebraków. Stanowił on przyboczną straż Napoleona. Śmieszny intrygant polityczny temu Towarzystwu zawdzięczał koronę cesarską. Dokumenty po Napoleonie III, które zabrał rząd Rzeczypospolitej, świadczą, że Ludwik Bonaparte rządził zapomocą motłochu. Szlachta galicyjska próżniacza, hulaszcza schodzi do rzędu żebraków. Żebrak szlachecki ma wielkie wymagania, nie lubi pracy, nie może pogodzić się z nowem swem stanowiskiem, marzy o władzy. Rząd austryacki w tym motłochu szlacheckim widzi swą najsilniejszą podporę. Bankruci zajmują najlepsze stanowiska, wyzyskują, o ile można, system protekcyjny, zarabiają na swej ciemnocie, wstecznictwie, pełnemi garściami czerpią pieniądze z banków, sprzedają jak najdrożej prawo propinacyi, zabrany grosz trwonią, potem żebrzą w przedpokojach ministrów. Postępując w ten sposób, niszczą kraj, zmieniają ludność na gromady nędzarzów, na motłoch innego rodzaju, nienoszący koszul batystowych, ale łachmany z wierzchu a chorobę wewnątrz organizmu. Z pomocą takich żywiołów najłatwiej rządzić, terroryzować zdrową, niezdemoralizowaną część narodu. Wiedział o tem Napoleon, rozumie to i rząd austryacki. Gdzie chleba brak, tam niema i myśli, samodzielnej politycznej myśli, opozycyi przeciw nadużyciom, świadomości społecznej. Żebraczo-pański tłum zorganizowany rządzi milionami niezorganizowanych nędzarzy wiejskich.

Zorganizować lud wiejski i miejski, drobne mieszczaństwo, uświadomić mu cele polityczne, wykazać zgubny wpływ rządu i swojskich żywiołów zachowawczych, zahartować wolę społeczną i zwrócić ją przeciw niszczycielom, korzystać z każdego błędu przeciwników, w całym kraju potworzyć stowarzyszenia mające na celu podniesienie dobrobytu, oświatę polityczną, zwoływać wiece, domagać się powszechnego głosowania, złączyć się z opozycyą słowiańską innych krajów monarchii, niszczyć na każdym kroku zatęchłe tradycye starej Austryi— oto zadanie partyi ludowej w Galicyi.

Partya ta u nas dopiero się tworzy, pierwsze stawia kroki. Siły jej są jeszcze bardzo słabe, liczba zwolenników mała wobec ogromu pracy, jaki ją czeka. Ale tegoroczne wybory do sejmu dodały powstającemu stronnictwu wiele otuchy. Opozycya rusińska w sejmie tegorocznym wystąpiła z niezwykłą śmiałością, stanowczo, jak na obrońców dobrej sprawy przystało. Polskiej lewicy sejmowej — klubowi postępowców — brak tej śmiałości. Opozycya polska zawsze była lękliwą i połowiczną. Nie mam wcale zamiaru zmniejszać zasług tego żywiołu, którego organem publicznym w zachodniej Galicyi jest *Nowa reforma*, już choćby dlatego, że zasługi tę są bardzo małe; ale zdaje mi się, że to, co u nas częstokroć nosiło miano demokratyzmu, wcale demokratycznem nie jest. Romanowicz, Asnyk... czerwoni! — znacząco kiwa się głową. Czerwonymi zrobili ich stańczycy, którzy najwięcej szafują takiemi słowami, jak np. przewrót, anarchiści, demagodzy itd., wówczas gdy chodzi o pobicie przeciwnika. Tymczasem każdemu wiadomo, że owi demagodzy stanowią ugłaskaną opozycyę. Kiedy w sej-

---

a za nim ksiądz w szatach obrzędowych. Jak tylko spostrzegła ich umierająca, gwałtownym ruchem podniosła się na posłaniu, otworzyła szeroko oczy i coś bełkotać zaczęła, szarpiąc odzież na piersi.

Ksiądz się przybliżył, wziął ją za rękę i rzekł:

— Bóg ci przebaczy, moja córko; odwagi — chwila nadeszła — mów.

Małgorzata jednak, wijąca się z bólu w straszliwych mękach, zdawała się tracić zupełnie świadomość — wreszcie jak gdyby ostatnim wysiłkiem woli do przytomności wracając, wybełkotała:

— Usiądź tu siostro, słuchaj...

Ksiądz pochylił się nad Zuzanną, do nóg łóżka jak gdyby przykutą, podniósł ją, posadził na fotelu i biorąc w obie ręce dłonie sióstr obu, wyrzekł:

— Boże litości! dodaj im sił potrzebnych, spuść na nie łaskę swoją, daj im zmiłowanie.

Małgorzata zalała się łzami — słowa wychodziły jej z gardła głucho, bezdźwięcznie, chrypawo, dławiły ją widocznie.

— Przebacz, przebacz mi siostro! Och, gdybyś ty wiedzieć mogła, jak całe życie moje lękałam się tej chwili!.. tej strasznej chwili!..

Zuzanna wyszeptała przez łzy:

— Ja ci mam co przebaczać, moja mała, tobie, któraś mi poświęciła życie całe, która byłaś moim aniołem...

Lecz Małgorzata przerwała jej gwałtownie:

— Milcz, milcz, Zuzanno!.. Pozwól mi mówić... nie przeszkadzaj mi... Ach, to okropne... pozwól mi wypowiedzieć wszystko, wszystko... do końca... Słuchaj... Pamiętasz... o, ty pamiętasz... Henryk...

Zuzanna drgnęła, ze zdumieniem najwyższem wpatrując się w siostrę.

Małgorzata ciągnęła dalej:

— Wysłuchaj, wysłuchaj wszystkiego od początku, ażeby zrozumieć... Miałam wówczas czternaście lat, tak, zaledwie czternaście; ty to pamiętasz dobrze—nieprawdaż?.. Byłam dzieckiem pieszczonem, psotnem, robiłam wszystko, co mi się podobało... Posłuchaj... Kiedym go po raz pierwszy ujrzała zsiadającego z konia przed gankiem, miał piękne, długie, świecące buty... przepraszał za swój kostium, ale przybywał tylko z jakąś nowiną do ojca naszego... Ty to pamiętasz, prawda?.. Ale nie przerywaj mi... słuchaj... Kiedym go zobaczyła, byłam cała w zachwycie, tak mi się wydał pięknym... przez cały czas tej jego wizyty, ukryta w kącie salonu, chwytałam chciwie każde jego słowo... Dzieci bywają strasznie niekiedy... oh, tak... nikt by mnie o to nie posądzał... marzyłam o nim ciągle od tej chwili!

Przyjechał po raz drugi, trzeci, bywał już potem często... wpatrywałam się zawsze w niego z zachwytem, duszę całą w oczach skupiłam... Byłam nad wiek swój wyrosłą, dużą... więcej, aniżeli myślano, rozwiniętą... Widywałam go często... we śnie i na jawie marzyłam tylko o nim, pieściłam ucho dźwiękiem jego imienia, wymawiając cicho:

— Henryk... Henryk de Sampierre!..

Powiedziano mi później, że on ma zaślubić ciebie... Cierpiałam strasznie na samą myśl o tem! Trzy noce przepłakałam, nie zmrużywszy oka... Widywałam go teraz codziennie... przyjeżdżał zaraz po śniadaniu zazwyczaj... Ty to pamiętasz — prawda?.. Ale nie przerywaj mi, słuchaj... słuchaj...

Tyś mu robiła zawsze ciasteczka, które on bardzo lubił... ciasteczka z mąki, masła i mleka... Oh! ja to dobrze widziałam — dziś bym je zrobiła... Brał je na jeden kąsek, popijał winem i mówił: „Przewyborne ciastka!“ Czy ty pamiętasz, jak on to mówił, jak patrzył wówczas na ciebie?..

Zazdrość mnie pożerała!.. Chwila waszego ślubu zbliżała się szybko. Już tylko dwa tygodnie oddzielało was od niej... Szalałam z rozpaczy — niekiedy perswadowałam też sobie:

— Nie, to niepodobna, on nie poślubi Zuzanny... ja tego nie przeżyję... On moim będzie, kiedy ja dorosnę... moim, i tylko moim... Nikt go tak nigdy, jak ja, kochać nie będzie i kochać nie może...

„Jednego wieczoru, na dziesięć dni przed oznaczonym dniem ślubu, tyś przechadzała się z nim przed pałacem, przy świetle księ-

mie wszczęła się dyskusya nad tem, czy rektorowi politechniki przyznać należy głos wirylny, *Nowa reforma* wystąpiła wprawdzie przeciw przywilejom sprzecznym z zasadą równości politycznej, która wymaga, ażeby poseł nie był z góry mianowany, lecz wybrany głosami ogółu; ale protest ten szydził z sasady demokratycznej, w artykule bowiem podniesiono myśl utworzenia z uniwersytetów i zakładów technicznych osobnego ciała wyborczego na wzór uniwersytetu oksfordzkiego. Galicyjski demokrata, pragnąc wykręcić się sianem, będzie szukał wzorów w Oksfordzie, w Kalkucie lub na przylądku Dobrej Nadziei. Zamiast uprościć, zniwelować nierówności systemu wyborczego proponuje się stworzenie nowej grupy... akademickiej. Zaiste dziwić się potrzeba, dlaczego akademie, wyższe instytucye naukowe oddawna już nie upadły we Francyi, w Niemczech itd. Wszak tam wirylistów akademickich niema, tam każdy poseł śmie głos zabierać w sprawach religii, oświaty, akademie zaś mają zwyczajne prawo obywatelskie posyłania petycyj, memoryałów do ciała prawodawczego.

Na parę miesięcy przed wyborami zaczęło we Lwowie wychodzić najlegalniejsze w świecie pisemko ludowe *Przyjaciel ludu*, mające na celu społeczną i polityczną oświatę ludu. Współpracownikami byli głównie włościanie, nadsyłający listy do redakcyi z zapytaniami, z opinią o tej lub owej sprawie, obchodzącej lud wiejski. Gazetka nie była wcale konfiskowaną, ton jej był zupełnie umiarkowany. Stańczycy powitali ją krzykiem oburzenia — chłop galicyjski śmiał pisnąć, to niebywałe! Puszczyki krakowskie zarzuciły *Nowej reformie* wspólność zasad i dążeń z *Przyjacielem ludu*. Organ demokratyczny dla uniknięcia kompromitacyi wyparł się wspólności duchowej z pisemkiem chłopskiem. Galicyi zatem innej potrzeba demokracyi, potrzeba trybunów, którzy potrafiliby wytrwać na stanowisku i nie zaklinali się tak hałaśliwie, jak to niedawno uczynił nieugięty, demokratyczny trybun z *Nowej reformy*. Bił się w piersi, przyrzekał szumnie, że posady członka wydziału krajowego nie przyjmie, że placówki opozycyjnej nie rzuci... tymczasem wybrany — przyjął cicho. Poszedł w „swojskie biurokraty.“ Ale „od imion własnych muzo wara! z tej strony zrobiłabyś cmentarz.“

Sprawozdanie z wyborów odkładam do następnego listu.

Chmiel.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najważniejszym wypadkiem politycznym chwili jest... influenza, która przedostała się na zachód i zaprząta telegraf. Objawiła się już w Austryi, Niemczech, Anglii i Francyi, a najznakomitsi lekarze wygłaszają o niej odczyty. Ma ona być reumatyczno-kataralną febrą nerwową i zwiastunką... cholery. Przeciw temu twierdzeniu jednak wytoczono dowody z przeszłości, świadczące, że to nie jest owa mała rybka pływająca około rekina.

Niemcy mają od lat paru swoją własną influenzę, z której wyleczyć się nie mogą. Nabawił ich tej choroby Fryderyk III, a raczej prasa gadzinowa, która przeciwko niemu występowała. Jest to zadziwiającem a jednocześnie charakterystycznem w bałwochwalstwie dla Bismarka, że Niemcy, naród istotnie monarchiczny, cierpi a nawet mile widzi ciągłe napaści na zmarłego monarchę, który im żadnej krzywdy nie wyrządził i który był przecie ojcem obecnego cesarza. Dzienniki urzędowe i prawomyślne zachowują się tak, jak gdyby Wilhelm II był synem Wilhelma I a pomiędzy nich wcisnął się samozwaniec, który na szczęście rządził tylko trzy miesiące i umarł. Zdawałoby się, że już dosyć upłynęło czasu, ażeby on zgasił rozpalone z tego powodu a wstrętnie swędzące namiętności; gdzie tam! — ciągle wybuchają one płomieniem. I oto znowu przed sądem rozegrała się sprawa brzydka. Zeszłego roku wydana została bezimiennie broszura p. t.: „Także program 99 dni,“ w której ohydnie zbezczeszczono Fryderyka III i jego otoczenie. Przeciwko temu paszkwilowi wystąpił adwokat Hamerning w broszurze p. t.: „Kto tam?“, a ponieważ za autora pierwszej ogłoszono księcia Ernesta Sachsen-Koburg-Gotha, więc go zelżył z wymienieniem nazwiska. Książę pozwał go o „obrazę majestatu,“ a chociaż sąd przyznał, że „Także program 99 dni“ jest pismem ubliżającem pamięci zmarłego cesarza i usprawiedliwia chęć odwetu w jego czcicielach, skazał jednak Hamerninga na 6 miesięcy twierdzy za „obrazę majestatu.“ A stąd wniosek logiczny: że majestat monarchy niemieckiego można znieważać bezkarnie, ale majestat drobnego książątka jest nietykalnym.

Szarpali się zębami i pazurami konserwatyści i narodowo-liberalni w Niemczech a jednak na komendę z góry musieli sobie podać ręce i podpisać kontrakt spółkowy (kartel) przed nowymi wyborami do sejmu. Gdy cesarz udzielił naganę grupie *Kreuz-Zeitung*, naiwni sługusi narodowo-liberalizmu sądzili, że rząd na nich oprze się całą swą mocą. Teraz widzą, że pozostaną tem, czem byli, przystawką pałacu konserwatywnego. Zajęli oni swe miejsce bez skrupułów, ale w zachowawcach to towarzystwo budzi widoczną odrazę.

Izba francuska, pomimo wrzasków szajki, unieważniła wybór Boulangera a tem samem przyznała mandat Joffrinowi. Komiczny generał, pozbawiony ostatniej nici, wyjeżdża do Ameryki, gdzie go jakiś przedsiębiorca obwozić będzie z odczytami. Nie o odczyty naturalnie mu chodzi, ale o pokazywanie jegomościa łaknącemu gapiówki tłumowi.

Ogłoszono nareszcie reformy dla Krety, z których ona jednak nie jest zadowoloną. Istotnie, sułtan nie okazał się zbyt hojnym w łaskach dla ludności chrześciańskiej, nie będzie też ona hojną w swej wdzięczności i prędzej lub później otworzy ujście tej lawie, której firman sułtański nie zaparł i nie ugasił.

Biedny Emin pasza, który przez 13 lat siedział w paszczy lwa afrykańskiego i wyszedł z niej calo, spadł z balkonu w Bagamoyo i rozbił sobie głowę. Żyje dotąd, ale w niebezpieczeństwie. Powodem wypadku była prawie zupełna ślepota, na którą oddawna się skarżył. Stanley, zostawiwszy przy chorym towarzyszu swego lekarza, uczczony wraz z nim uroczystem przyjęciem i telegramami osób dostojnych, odjechał sam do Europy, podobno z bardzo bogatym łupem odkryć.

życa... i tam... pod jodłą... pod tą pamiętną mi jodłą... on wziął cię w swoje objęcia i całował długo... długo... Ty to pamiętasz, pamiętać musisz?.. To było pewnie poraz pierwszy... tak... Byłaś bardzo, bardzo blada, powróciwszy do salonu!..

„Ja was widziałam... śledziłam was, ukryta w gęstwinie. Szał rozpaczy mnie ogarnął! Gdyby to było w mojej mocy, zabiłabym was była oboje!..

„I powiedziałam sobie naówczas:

„On nie poślubi Zuzanny nigdy, nigdy! On nie poślubi nikogo... niedoli mojej przebrała się miara...

„I nagle poczułam ku niemu straszną, niepojętą nienawiść...

„Naówczas wiesz, com zrobiła?.. Posłuchaj... Widziałam jak ogrodnik przygotowywał gałki trujące dla psów: tłukł on butelkę kamieniem i kładł to szkło potłuczone w gałki z mięsa...

„Dostałam od mamy małą flaszeczkę po lekarstwie, potłukłam ją młotkiem i schowałam to szkło do kieszeni — był to piękny, świecący proszek... Nazajutrz kiedyś ty się zabrała do swoich ciasteczek, upatrzyłam stosowną chwilę... i wsypałam w nie to szkło... On zjadł ich trzy... ja także zjadłam jedno... sześć innych wrzuciłam do stawu... Dwa łabędzie zdechły od nich w parę dni potem... Ty to pamiętasz?.. Oh, nic nie mów... nic nie mów... daj mi dokończyć... Ja tylko jedna nie umarłam... choć chorowałam już potem ciągle... Ale ty słuchaj... słuchaj... On umarł... umarł wówczas nagle... ty to wiesz dobrze... Ale to jeszcze nic... to dopiero później... potem... zawsze już... dla mnie... ach, co za męka straszna!..

„Moje życie, całe moje życie, co to za straszna była tortura!.. Powiedziałam sobie: „Nie opuszczę mojej siostry i wyznam jej to wszystko, wszystko na łożu śmierci...“ Ta chwila, ta straszna chwila jednakże... myśl o niej nie opuszczała mnie nigdy... myślałam ciągle we dnie i w nocy, we śnie i na jawie o tem, jak ja ci to powiem, jak ja ci to wszystko wyjawię... Oh, to okropne... ta męka życia całego... ta straszna męka... Nadeszła oto ta chwila... siostro... oh, moja dobra starsza siostrzyczko!..

„Rano i wieczór, we dnie i w nocy myślałam zawsze: „Muszę jej to powiedzieć... muszę...“ Czekałam z trwogą najwyższą tej okrutnej godziny... Czekałam... Och, co za męka!.. Stało się... Ty nic nie mówisz... patrzysz na mnie tak strasznie... Och, ja się boję... ja się strasznie boję!... siostro... siostro... Jeżeli stanę przed nim tam... za chwilę... gdy umrę... Zobaczę go... pomyśl tylko o tem... Ja pierwsza!.. czuję trwogę okrutną!.. Czy on mi przebaczy?.. Czy ty mi przebaczysz, siostro?.. Oh, przebacz, przebacz... inaczej nie umrę... nie umrę spokojnie... Ja nie mogę bez przebaczenia twego tam stanąć przed nim... Zuzanno. Oh! księże, księże przemów do niej za mną... błagaj ją za mnie... Nie mogę umrzeć bez tego... nie mogę...“

Zamilkła i leżała tak, drżąc cała, szarpiąc wszystko na sobie sztywniejącemi palcami... straszna w swej beznadziejnej męce.

Zuzanna, ukrywszy twarz w dłoniach, siedziała tak jak posąg kamienny nieruchoma, oniemiała z bólu. Myślała o „nim...“ o tym swym ukochanym, którego mogła była kochać tak długo! Och, co za życie uśmiechało się do nich!.. Jakże byliby szczęśliwi!.. I widziała go oczyma duszy w tej chwili, jak gdyby ta męcząca przeszłość snem była tylko, bolesną marą, dręczącą ją lat tyle... Oh, a ten pocałunek!.. Ten pierwszy i ostatni pocałunek jego!.. Zachowała go w duszy głęboko... głęboko... na całe długie, ciężkie, sieroce życie... Jedna chwila rozkoszy i więcej nic... nic... prócz rozpaczy i męki... prócz ciężaru złamanego życia... prócz bolesnej niedoli istnienia!..

Ale nagle ksiądz powstał i głosem drżącym od wzruszenia zawołał:

— Panno Zuzanno, siostra twoja umiera!

Wówczas Zuzanna, odjąwszy dłonie od załzawionej twarzy, rzuciła się konającej na szyję i składając długi pocałunek na jej stygnącem już czole wyszeptała wśród łez gorących:

— Przebaczam ci... przebaczam ci... moja „mała...“

Tłom. *Marya Czesława.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WŚRÓD TEGOCZESNEJ FALI SPOŁECZNEJ.

IV. Przedsiębiorstwa udziałowe.

Z instytucyami udziałowemi wkraczamy w dziedzinę krańcowego marzycielstwa społecznego, zrodzonego przez ideologię mieszczańską. Wprawdzie dałoby się odszukać rodowód tego marzenia wśród planów Fouriera, wątpimy przecież, czyby on sam dopominał się o tego rodzaju wawrzyny... Reklama gorliwie wzięła pod swoją opiekę urządzenia udziałowe, które dzięki temu wyrosły na coś tak potężnego a olbrzymiego, że oszołomiony wrzaskami a mniej krytyczny umysł gotów uwierzyć, że ma przed sobą „jutrzenkę przyszłości." Dość przyjrzeć się odpowiedniemu działowi paryskiej wystawy społeczno-ekonomicznej. Uwydatniła ona sprawę udziałową jak kokietka swe powaby. Niemniej zarozumiale i buńczucznie odzywają się twórcy opartych na tej podstawie instytucyj. „Robotnicy nie są już naszymi niewolnikami, to stanowisko przypaść winno maszynie; są oni teraz naszymi współpracownikami"—odzywa się na zjeździe przemysłowców w Muhlhausen jeden z ojców nowego ideału, powiadając myśl słuszną, że tegoczesne najmictwo jest pewnego rodzaju niewolą. Warto przyjrzeć się, za jaką cenę robotnik doszedł do godności „współpracownika." Otóż firma, z łona której wyszedł ów natchniony mówca, daje zaledwie 10% czystego dochodu (po odtrąceniu zwykłego procentu) najmitom, przyczem blisko połowę odłącza dla uprzywilejowanych urzędników; robotnicy nie posiadają prawa najmniejszej kontroli. Jak widzimy, zwalenie niewoli a zaprowadzenie „współpracownictwa" nie kosztowało tak wiele... Jeszcze bezwzględniej występują w swoich rocznych sprawozdaniach przedstawiciele malarsko-dekoratorskiej firmy Leclaire w Paryżu; wprawdzie okupują swoją górnolotność drogim haraczem, bo 75% czystego dochodu. Rzeczywistą wartość tych frazesów poznamy niebawem. Ale przedtem winniśmy zwrócić uwagę na jedno zjawisko. Porządek staroczesny przekazał nam tu i owdzie szczególne sposoby wynagradzania pracy, korzystniejsze od przyjętych przez obecny system najmicki. Dochowały się w zakątkach i ustroniach, jako postać prawa zwyczajowego. Tu należą: połownictwo rolne w niektórych miejscowościach Francyi, praca w morskich warzelniach soli, dzielenie się patronów łódki z majtkami łupem z połowu ryb. Część, którą otrzymuje przedstawiciel pracy, jest w zasadzie większą, aniżeli przypadałoby mu z wolnej umowy najmickiej. Ruch tegoczesno-udziałowy, wytworzony przez ideologię mieszczańską, bierze pod swoją opiekę te szczątki ubiegłych czasów i stosunków, usiłując je obronić przed ciosami maszyny, która wkraczając na odpowiednie pola działalności, niesie z sobą przewrót stanowczy w tej mierze.

Zresztą, cały obecny prąd udziałowy jest stosunkowo świeżej daty. Wyrósł on głównie we Francyi nieco przed r. 1848. Znajdujemy też tutaj do sześciu firm, które zaprowadziły odpowiednie urządzenia więcej niż przed czterdziestu laty. Są to jednak wyjątki. Rozpatrzmy np. całokształt przedsiębiorstw udziałowych angielskich lub amerykańskich. Z liczby ogólnej 18, istniejących w Anglii, najdawniejsze powstało w r. 1869, trzy inne przybyły w dziesięcioleciu 1870—1880, pięć w pięcioleciu 1880—1885, wreszcie dziewięć pozostałych stanowi spuściznę lat 1886—1888. To samo w Stanach Zjednoczonych. Nie znajdziemy tutaj ani jednego, które bytowałoby lat 20 lub więcej, zaledwie sześć, których istnienie przewyższa pięć lat, i około trzydziestu powołanych do życia już po r. 1885. Słowem, jest to ruch nawskróś młodzieńczy, udziały bowiem liczące do pół wieku istnienia, stoją w przeszłości pojedynczo i samotnie, aby można było je brać pod uwagę. Trudno też powiedzieć, w jakim stopniu znajdzie on w przyszłości zastosowanie, chociaż wkrótce poznamy fakty, wykazujące, że rozmiary tego prądu z góry są już ograniczone. Przedtem jednak należy zbadać wewnętrzne urządzenie tego rodzaju przedsiębiorstw. Lecz tutaj spotykamy się z dziwnem zjawiskiem; mianowicie, jeśli rozpatrywać będziemy różne zakłady udziałowe, widzimy, że postacie uczestnictwa są tak różnorodne, iż niepodobna w żaden sposób podciągnąć je wszystkie pod jedną modłę. Niektóre przedstawiają ledwie prostą odmianę systemu gratyfikacyjnego, z tą czasami różnicą, iż na te cele wyznaczono stałą z roku na rok część dochodu, lecz sam robotnik otrzymuje d wolny udział i czuje, że jest to okru zmiennej łaski pańskiej. „Dawanie udziału jest prostą wspaniałomyślnością ze strony patronów i robotnicy nie mają najmniejszego prawa wtrącania się do majątku, zasobów i czynności firmy" — wyraźnie powiada dom dystylatorski Perroda (syna). Tymczasem inne przechodzą niemal w stowarzyszenia wytwórcze. Nie mówimy o familisteryach, które należą do wyjątków, lecz mamy na myśli przedsiębiorstwa w rodzaju zakładów tkackich W. Thompsona w Haddersfieldzie, które usiłują (nie wchodzimy w pobudki) „nawiązać sojusz trwały pomiędzy kapitałem a pracą i pogodzić zasadę głosowania powszechnego ze stateczności administracyjną." Robotnicy otrzymują w akcyach 25 frankowych całą część czystego dochodu — po odtrąceniu procentów— stosownie do zarobków. Jako akcyonaryusze wchodzą oni następnie do zarządu, lecz z ograniczonem prawem co do zmieniania dyrekcyi. W tym przypadku każdy pracujący staje się akcyonaryuszem z konieczności; w garbarnii Dorgeâ i syna i w papierni Laroche-Jouberta pozostawiono to do uznania robotników. Atoli przedsiębiorstwa udziałowe tylko w wyjątkowych razach dochodzą do tak krańcowej postaci; natomiast bardzo licznie zmierzają ku systemowi gratyfikacyjnemu. Jeśli weźmiemy wydany przez Towarzystwo paryskie popierania udziałów *Wykaz statystyczny* odpowiednich przedsiębiorstw w r. 1885 *), znajdziemy że 30% z pośród nich z góry nie określa wysokości udziału i czyni z tego sprawę zupełnej dowolności bez prawa kontroli ze strony korzystających. W gruncie rzeczy mamy też tutaj do czynienia ze zwykłą gratyfikacyą — nic więcej; wkrótce poznamy, jakiej przyczynie należy zawdzięczać, że odpowiednie zakłady zaliczono do udziałowych. Wreszcie i same przedsiębiorstwa, które związały się w sposób mniej lub więcej uroczysty do corocznego wydzielania najmitom określonej części zysku, przedstawiają całą wiązankę odmian. Są takie, co cały dochód (po odtrąceniu procentów) dzielą pomiędzy kapitał a robotników stosownie do wysokości procentów i zarobków; to znowu proporcyonalnie do wartości wyrobionego towaru a płac, albo rozmiarów kapitału a zarobków itd. Natomiast inne wyznaczają z czystego dochodu pewną stałą a z góry wiadomą część. Wśród przedsiębiorstw, wymienionych w wspomnianym *Wykazie*, 17% wydzielało 5% lub mniej, 10% dawało dziesiątą część lub niżej aż do dwudziestej, 13% posuwało się do udzielania najmitom jednej trzeciej i nawet połowy, wreszcie dwie firmy dopuszczały do trzech czwartych dochodu. I sposób podziału również jest bardzo rozmaity. Postępowe i humanitarniejsze zakłady dzielą części stosownie do zarobków, w jednym za zasadę przyjęto wysokość sumy, złożonej przez każdego robotnika w kasie oszczędności. Inne wprowadzają wprost dzikie zwyczaje. Przedsiębiorstwo wyrabiające czekoladę Lombarta w Paryżu urzeczywistniło u siebie karność szkolną. Każdy robotnik otrzymuje stopień, wynikający z not właściciela, dozorcy i kontrolera. Kto nie dostaje bardzo dobrego, traci udział. W dalszym ciągu niektóre towarzystwa udziałowe są dosłownie oparte na samowoli, nikt nie ma tutaj prawa kontrolować, czy przedsiębiorca dotrzymał słowa. Inne zrozumiały konieczność organów dozorowych. Robotnicy wtedy wybierają z określonych urzędów (np. komitetów handlowych) swojego pełnomocnika, czasami znowu całą radę z pośród siebie. W gruncie rzeczy, tylko zakłady, gdzie pracodawca zobowiązał się do określonych ustępstw i robotnicy mają zupełne prawo kontroli, podział zaś sam nie zna owych wspominanych stopni, należałoby uważać za udziałowe, pozostałe—za gratyfikacyjne; zastrzeżenie to jednak tak obciężłoby rozmiary samego ruchu, że rzecznicy wolą nieco dorzucić fałszów, aby zatrzeć drobnowidzowe postępy, czynione przez „jutrzenkę przyszłości..." Zresztą wypada jeszcze uwzględnić jedno, mianowicie, że nigdy wszyscy najmici zakładu nie są dopuszczeni do udziału. Czasem tymi względami mogą się poszczycić administracyjno-policyjne władze, np. dyrektorzy, dozorcy, kontrolerzy. W innych razach mamy do czynienia z szerszem, lecz zawsze ograniczonem uczestnictwem. Zakład blacharsko-ślusarski Barbas i S-ki w Paryżu; liczba robotników 150, z pośród których jedynie część trzecia dopuszczona jest do udziału, potrzeba bowiem uprzednio przesłużyć lat 3 i zyskać u rady nadzorczej dobrą odezwę... Podobnego rodzaju przedsiębiorstwo Montier, zanim przypuści kogoś do zysków, wymaga trzech lat nieprzerwanej służby, przyjęcia przez pryncypała i „komitet udoskonalenia" i nie posiadania więcej nad 55 lat wieku. Widzimy, że trzeba przejść przez twardą a ciężką szkołę, zanim otworzą się podwoje raju udziałowego. Sporo może być powołanych, niewielu jednak bywa wybranych. Możemy być pewni, że oko przedsiębiorcy bacznie przyjrzy się, kto wolny jest od grzechu, że zanadto opieszale stara się o wrócenie „dobroczyńcy" strat poniesionych...

Jaką ma przyszłość przed sobą ruch udziałowy? Ażeby módz odpowiedzieć na to pytanie, zajmiemy się zbadaniem, jak głęboko on wkorzenił się oraz w jakich zagnieździł się zawodach. Pod tym względem niepodobna uskarżać się na brak materyałów faktycznych. Zwykle mówią, że szlachetne czyny pozostają w ukryciu, ale przysłowie to nie znalazło zastosowania w odniesieniu do przedsiębiorstw udziałowych. W Paryżu istnieje szczególne towarzystwo ze specyalnem czasopismem (*Societé pour l'étude pratique de la participation*), troskliwie zapisujące każdy objaw w tym kierunku i rozgłaszające światu dobroczynność. Podobnie firma angielska Bushilla zbiera sumiennie przyczynki i ogłasza każdego nowego pioniera. Böhmert, Gilman, Rabbeno napisali znaczne dzieła, gdzie wciągnęli każdą niemal próbę... Istnieją nawet międzynarodowe zjazdy udziałowców. Możemy być pewni, że przytoczone poniżej cyfry przedstawiają co najwyżej bardzo niewielkie odchylenia od prawdy, tembardziej, że zwłaszcza dla Francyi tegoroczna wystawa ekonomiczna na pewno nie przepuściła ani jednego udziału, aby go nie wypisać złotemi literami na tablicy w odpowiednim pałacyku. Otóż według przeprowadzonych obliczeń na Francyę przypadałoby około 70, na Stany Zjednoczone do 40 i wreszcie na Anglię 18 przedsiębiorstw udziałowych *). Liczby powyższe są bardzo skrom-

*) *Tableau synoptique des établissements qui pratiquent la participation aux bénéfices.* 1885.

*) Nie wliczamy udziałów, istniejących w każdem wytwórczo-współdzielczem stowarzyszeniu względem robotników niestowarzyszonych. O tem później.

ne, byłyby zaś jeszcze skromniejsze, gdyby dokonano oczyszczenia udziałów i nie mieszano ich z gratyfikacyą. Rzecz bardzo ciekawa, jakie zawody pośpieszyły z urzeczywistnieniem „ideału.“ Otóż we Francyi aż 27% przypada na magazyny i składy, towarzystwa ubezpieczeń i kantory wymiany, 14% na drukarnie i firmy wydawnicze, tyleż na zakłady ślusarskie, blacharskie, wyrób welocypedów, lornetek; wreszcie 7½% na mechaniczne. W liczbie towarzystw udziałowych francuskich znajdujemy dwa majątki ziemskie, dwie dystylarnie, tyleż przedsiębiorstw budowlanych, komedyę paryską itd. W Stanach Zjednoczonych 20% odchodzi na drukarnie i firmy wydawnicze, tyleż na zakłady ślusarskie, blacharskie itd., 7½% na firmy szewckie i przędzalnie, 5% na magazyny i tyleż na zakłady krawieckie; wśród reszty mamy apteki, wodę sodową itd. W Anglii wreszcie drukarnie stanowią 45%, przedsiębiorstwa inżenierskie 12% wśród towarzystw udziałowych. Fakty to wymowne i niebawem postaramy się je wytłomaczyć, lecz uprzednio rozpatrzmy się w nich jeszcze szczegółowiej. Z 24 francuskich zakładów, u których tablice Bushilla*) podają liczbę robotników, znajdujemy 8 zatrudniających więcej nad 500 osób. Są to: kompania transatlantycka parostatkowa (5541), magazyny Bon Marché (3,000), familisterya w Guise (1,600), jedna papiernia (1,600) i cztery drukarsko-wydawnicze firmy (odpowiednio 1,500, 1,000,750 i 622 osób). W Anglii widzimy jedynie trzy podobnie olbrzymie przedsiębiorstwa, jedno inżenierskie (2,000) i dwa drukarsko-wydawnicze (1,100 i 1,000 osób). A teraz zobaczmy, co mówią nam wszystkie przytoczone szczegóły. Łatwo zauważyć, że udział sadowi się w gałęziach przemysłu, gdzie maszyna odgrywa względnie drugorzędną rolę. I zaiste, jak pozwalają sądzić już świadectwa, zaczerpnięte z tego, że robotnik musi odbyć kilkuletnią próbę, nim zostanie dopuszczony do praw, „ojcom“ prądu udziałowego, prócz idejowego wzruszenia, chodzi o pewne namacalne korzyści: zyskanie zręcznych, sumiennych a zdrowych i posłusznych rąk roboczych, zwiększoną wydajność pracy itd. Wystawmy sobie teraz istotną fabrykę, gdzie maszyna, poruszana przez siłę parową, spełnia główną robotę, człowiek zaś jest do niej przydatkiem. Ruch automatu martwego jest jednostajny z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Człowiek winien ion zastosowywać swoje wysiłki, cała jego działalność jest zależną i z góry nakreśloną. Sama maszyna kłopocze się o to, aby z żywego swego organu wyciągnąć możliwe korzyści. W tym razie żadna wola osobista nie wzmoże silniej i liczniej owoców pracy. Inaczej dzieje się, gdzie człowiek jeszcze włada indywidualnie narzędziem, jak zecer czcionkami, ślusarz pilnikiem, optyk przyrządami do toczenia szkła mikroskopowego. Tutaj pilność osobista, pracowitość a „dobra wola“ mogą zdziałać cuda. I właśnie, jeśli przyjrzymy się powyżej przytoczonym cyfrom, zobaczymy, że urządzenia udziałowe rozsiadły się w tego rodzaju zawodach, gdzie osobista wola i baczność dotrwały jako bardzo ważne czynniki produkcyi, gdyż od nich zależy jakość i liczebność wytworu, albo znaczne zaoszczędzenie surowca. Te powody pozwalają nam mniemać, że zakres i rozmiary prądu udziałowego są już z góry ograniczone, mianowicie, że on nigdy nie wybiegnie po za szranki, gdzie wola ludzka zjawia się jako kierowniczka narzędzia i odpowiada za dokonane rezultaty. Maszyna, która powołała do życia instytucye patronalne, jest zatem wrogiem urządzeń udziałowych. Tę prawdę zrozumiał wspominany już Vandervelde. „W zawodach, gdzie praca ręczna wywiera nieznaczny wpływ na dochody, system udziałowy jest nie do urzeczywistnienia, stałby się bowiem nieustającą ofiarą dla przedsiębiorcy.“ Wreszcie rozwojowi udziałów staje na przeszkodzie inna jeszcze okoliczność. Przypuszczony do udziału robotnik żąda z czasem prawa kontroli nad biegiem interesów i z niedowierzaniem patrzy na ręce pracodawcy, zwłaszcza kiedy tenże w latach straty obcina mu wydaną a złożoną uprzednio sumę. Przedsiębiorcy więc, nawet chcąc podnieść wydajność najmitów, wolą wybierać inne drogi. Słowem, przyszłość „ideału“ nie jest tak świetną i chyba nie omylimy się, przepowiadając, że udział zawsze pozostanie stanem wyjątkowym...

A teraz należałoby przyjrzeć się „duszy“ przedsiębiorców udziałowych. Czytelnik zauważyć musiał, że z niedowierzaniem patrzymy na pobudki rzekomej filantropii. Postaramy się usprawiedliwić nasz pogląd. To uczynimy w dalszym numerze w związku z instytucyami patronalnemi.

K. R. Żywicki.

*) *Profit Sharing Scheme.* 1888.

LISTY Z NAD BAŁTYKU.

Ryska reda miejska. — Ukaranie prezydenta i jednego z radnych. — Adresy szlachty i mieszczan.— Reforma sądownicza. — Sprawy kat. Tow. dobroczynności. — Dawne środki. — Wspomnienie o Chałubińskim.

Niedawno M. von Oettingen, radny miejski i członek zarządu miasta oskarżony został przez gubernatora o używanie w korespondencyi urzędowej języka niemieckiego. Choć odpowiedni okólnik jasno winę Oettingena określał, rada miejska dopatrzyła nieformalności w postępowaniu gubernatora i wniosła przeciw niemu skargę do senatu. Odnośnie rozpraw, które w radzie miejskiej z tego powodu odbywały się, ogłasza miejscowy organ urzędowy następujący rozkaz Najwyższy:

„Jego Cesarska Mość na zasadzie wiernopoddańczego raportu p. ministra spraw wewnętrznych co do wyjaśnień, znajdujących się w podaniu inflanckiego gubernatora, generał-lejtenanta Zinowjewa, a świadczących o wielkiej nielojalności (*niebłagonadeżnosti*), członka ryskiego zarządu miejskiego, radcy stanu M. von Oettingena w stosunkach rządowych i o dozwalanych w ryskiej radzie miejskiej niestosownych rozprawach, dnia 9 b. m. (st. st.), Najwyżej raczył rozkazać: 1) Ryskiemu prezydentowi miasta (głowie), piastującemu godność mistrza dworu, rzeczywistemu radcy stanu Augustowi von Oettingenowi, za nieprzedsięwzięcie środków do usunięcia dozwalanych obecnie, w będącej po jego przewodnictwem radzie miejskiej, niestosowanych rozpraw, udzielić surową naganę (*strogij wygowor*). 2) Członka ryskiego zarządu miejskiego, radcę stanu Maksa von Oettingena wydalić nietylko ze składu zarządu miejskiego, ale wogóle ze składu instytucyi samorządu miejskiego, oraz zabronić mu na przyszłość wstępowania do służby publicznej.“

Rižskij Wiestnik wyraża nadzieję, że powyższa kara będzie zrozumiałą lekcyą dla wyborców, bardzo stosowną wobec bliskości terminu nowych wyborów do rad miejskich. Przygotowania już się odbywają. W Mitawie gubernator kurlandzki zamknął komitet, utworzony w celu ułożenia listy kandydatów. P. Oettingen podobno opuszcza stanowisko „głowy“ Rygi.

Miasto Libawa otrzymało Najwyższe podziękowanie za ustąpienie bezpłatnie miejsca pod budynek zjazdu sędziów. Podobnež podziękowanie dostali: szlachta inflancka i mieszkańcy Rygi za wyrażone, z powodu ocalenia J. C. Mości w czasie katastrofy 17 października 1888 r., uczucia wiernopoddańcze.

Ogłoszono nominacye na prezesów zjazdów pokoju; uzyskali te stanowiska przeważnie niemcy miejscowi.

Sprawy powyższe, również jak za dwa tygodnie mająca być wprowadzoną reforma sądownictwa, zajmuje żywo miejscowy ogół.

Co do nas, to troszczymy się obecnie o sprawy jedynej naszej instytucyi dobroczynnej — Towarzystwa kat. dobroczynności. Jest nad czem pomyśleć; nędzy wiele wokoło, opiekuńczy dla ziemi całun śniegowy nie jest dobrodziejstwem dla ubogich. Komitet Towarzystwa, z zacnych ludzi złożony, zdwaja swe zabiegi o grosz, chce niebo i ziemię poruszyć, byle do wspólnego działania ku dobru publicznemu skłonić wszystkie „stany.“ Wkrótce też w ruch puszczone zostaną wszelkiego rodzaju wyżymaczki „dobroczynne.“ A zatem ulżymy naszym kieszeniom na bazarze z loteryą fantową, gdzie nadobne damy w pięknych pawilonach... itd.; będziemy mieli bal „katolicki,“ tym razem „kostiumowany i pudrowany,“ gdzie urocze dziewoje w gustownych strojach... itd.; może uda nam się jeszcze urządzić przedstawienie amatorskie, gdzie „utalentowani“ amatorowie i amatorki wykażą... itd. Wkrótce w Mitawie miejscowe Tow. kat. dobroczynności urządza bal, poprzedzony teatrem amatorskim. Odegrają tam zwykłego *Hanibal ante portas* i zwykłego *Złotego cielca*. Jak widzisz, czytelniku, wszystko to znane i dawne rzeczy. Wznawia się je tylko bez końca, jak bez końca wznawiać zwykliśmy nasze skargi na ten nieprodukcyjny sposób opodatkowywania majętniejszych na korzyść ubogich, drogą zabaw, których urządzenia pochłaniają lwią część wydanych przez ofiarodawców pieniędzy.

* *

Smutna wieść o zgonie Tytusa Chałubińskiego znalazła i u nas, ryżan, bolesny oddźwięk. Poczucie potrzeby uiszczenia się natychmiastowego z cząstki długu wobec zmarłego nie zostało tym razem skwitowane nabożeństwem kościelnem. Cieniom Chałubińskiego hołd drobny składaliśmy na wieczorku naukowym w „Arkonii,“ gdzie wygłoszono odczyty, w których uczucie serdecznego żalu łączyło się ze czcią dla czynów tego lekarza-obywatela.

R.

TYTUS CHAŁUBIŃSKI.

(Jako profesor i lekarz).

III.

Jędrzej Śniadecki i Chałubiński — to dwie gwiazdy na horyzoncie dziejów naszej nauki lekarskiej w ostatnich czasach. Jak nieśmiertelny twórca teoryi obrotu materyi organicznej wzbogacił medycynę teoretyczną, tak drugi zużytkował wszystkie jej zdobycze dla dobra ludzkiego, tworząc medycynę praktyczną racyonalną.

Pokrewieństwo duchowe między niemi uderzające. To samo zamiłowanie przyrody, te same szerokie poglądy i ta sama oryginalność umysłu. Ogólne wykształcenie humanitarne, na podobieństwo mędrców starożytności, dokładna znajomość nauk przyrodniczych, fizyologii, patologii, terapii i historyi medycyny, a obok tego niezmierny zmysł spostrzegawczy, genialny polot myśli, długoletnia praca szpitalna — uczyniły Chałubińskiego jednym z najznakomitszych klinicystów tego wieku. Wielki jego umysł wybrnął z chaosu panującego w medycynie wobec wielu teoryj i doktryn najsprzeczniejszych. Poznawszy drogi ścisłego badania przyrodniczego, przyswoił sobie z tego, co nam przekazały wieki, tylko prawdy niezbite, fakty stwierdzo-

ne odwiecznem doświadczeniem i wytrzymujące najściślejszą krytykę. Każdy nowy wynalazek, każdą teoryę przyjmował o tyle, o ile one mu tłomaczyły zjawiska życia i o ile stwierdziło je doświadczenie przy łóżku chorego.

Wpływ też Chałubińskiego na kierunek leczenia u nas był wielki. Najlepsi praktycy warszawscy, jak Bącewicz, Helbich itd. przyjęli jego zasady, później zaś cała terapia u nas była w znacznej mierze jego dziełem. Praca ta większe by była wydała owoce, gdyby nie nasze zamiłowanie do wszystkiego, co zagraniczne, i gdyby Chałubiński lepiej był rozumiany. Niektórych lekarzy drażniła jego wielkość — starali się więc obniżać jego znaczenie i naukę, innym zaś imponowała zagranica a szczególniej szkoła wiedeńska i niemiecka. Gdyby poglądy Chałubińskiego weszły do nas ze stemplem zagranicznym, wszyscy byliby wprawieni w zdumienie, naukę jego przyjętoby z zadowoleniem. Budował on dla przyszłości a więc budował trwale i pracował, będąc pewnym swych sił. Ileż to razy nauka późniejsza stwierdziła jego prekonania wyśmiewane przez swoich?

Kiedy Liebermeister ogłosił swe prace o gorączce, uznawszy ją za najniebezpieczniejszy moment w chorobie, cały świat lekarski, niewyłączając najrozumniejszego i najbardziej zachowawczego w Angli, przyjął jego teoryę. Odtąd zwalczanie gorączki stało się równoznaczne z leczeniem choroby. Doświadczyła jej na sobie i Warszawa a następnie kraj cały. Tymczasem obecnie wobec postępów bakteryologii pokazało się, że teorya Liebermeistera jest błędną w praktycznem jej zastosowaniu. Spostrzeżono to, co nasz Chałubiński głosił oddawna, że gorączka nie jest chorobą, tylko objawem chorobnym, wprawdzie groźnym, lecz zależnym od wielu czynników ją wywołujących. Usuwanie więc przyczyn gorączki stanowić będzie rozumne leczenie, tembardziej, że w wielu wypadkach stanowi ona objaw pożyteczny dla wyzdrowienia. Chorzy nasi już nie są zatruwani wielkiemi dawkami chininy, antypiryny, antyfebryny itd., które spokojnie w znacznych ilościach leżą w składach aptecznych.

Przed miesiącem w Anglii zauważono, że krwotoki płucne u pewnych osobników zawsze skończą się śmiercią, jeśli nie będą leczone zapomocą środków czyszczących. Chałubiński od wielu lat podniósł ten sposób leczenia do znaczenia metody.

Szkoła wiedeńska uznała kalomel jako bardzo szkodliwy i wyklęła go pomimo wielkiej jego skuteczności w wielu wypadkach. Dziś odkrycia na polu bakteryologii przywróciły temu środkowi dawną jego sławę. Chałubiński zawsze zalecał kalomel, ile razy znalazł dla niego wskazazanie.

Traube w Berlinie znaczną część swego życia poświęcił na badanie skutków naparstnicy (digitalis) i zastosował ją w leczeniu zapalenia płuc krupowego. W całej Europie miano już gotowy środek i mechanicznie go przepisywano. Chałubiński, opierając się na znajomości samego procesu choroby i działaniu środka, wykazał całą bezzasadność berlińskiego klinicysty. Nauka stanęła po stronie naszego mistrza.

Setki podobnych przykładów możnaby przytoczyć jako dowód wielkiej samodzielności, oryginalności i znakomitych pomysłów nieodżałowanego nieboszczyka. W stosowaniu nowych metod ogłędnym był zawsze, ale prawdziwie wielkie odkrycia przyswajał sobie natychmiast. Kiedy w ojczyźnie Pasteura bakteryologia musiała sobie wywalczać prawo obywatelstwa, wiemy, z jakim entuzyazmem Chałubiński ją przyjął, gdyż ona tłomaczyła mu lepiej wiele zjawisk w patologii i przypomniał, że dawniejsi badacze przewidywali *contagium vivum*. W leczeniu jednak chorób zakaźnych szedł drogą wskazaną przez doświadczenie, bo lepsze pojmowanie ich istoty nie prowadzi zaraz do nowych sposobów leczniczych. Ustrój ludzki — to nie naczynie szklane, w którem by można mordować bakterye, a ileż biedny rodzaj ludzki połknął już środków przeciwgnilnych od czasu upowszechnienia teoryi pasorzytniczej — środków, dostatecznych do zabicia bakteryj, ale zarazem i chorego. Przyjmując za przyczynę cholery lasecznik przecinkowaty, Chałubiński w jednym z najgruntowniejszych i najbardziej przekonywających wykładów (w Towarzystwie lekarskiem), oparty na doświadczeniu i wynikach mozolnego badania, starał się uzasadnić leczenie cholery środkami wymiotnymi. Natychmiast krytyka potępiła środki wymiotne wogóle a szczególniej przy zwalczaniu cholery. Tymczasem w Hiszpanii przy leczeniu ostatniej cholery oddały wielkie usługi, choć, jak wiadomo, użycie tych środków na południu musi być oględniejsze.

Zarzut czyniony Chałubińskiemu, że nie pozostawił po sobie prac piśmienniczych, jest niesłuszny. Na całą działalność jego musimy spoglądać ze stanowiska praktyczno-społecznego. Przedewszystkiem był to nie książkorób, ale mędrzec czynu. Mając praktykę przeważnie konsultacyjną, tem samem uczył swoich zasad, wskazując lekarzom drogi, któremi mają postępować. Kto porówna obecny stan naszej medycyny stosowanej z jej stanem przed r. 1850, ten dojrzy, jaki wpływ wywarł Chałubiński i ileśmy my mu winni. Jego *Metoda wynajdywania wskazań lekarskich*, *Plan leczenia i jego wykonanie* oraz *Zimnica* zostaną pomnikiem jego głębokiego rozumu, który przyszłość dopiero oceni należycie*). A wreszcie kto winien, żeśmy zostali pozbawieni dalszej seryi (mającej objąć całą patologię chorób wewnętrznych) jego „Pism," z których „Tyfus" przygotowany do druku nie wyszedł? Ile razy ukazała się praca jego, tyle razy krytyka (??) napadała go lekkomyślnie i namiętnie, posądzając o plagiat albo odmawiając mu znajomości zasad naukowych. Cóż więc dziwnego, że Chałubiński, niestworzony do cierpliwego znoszenia poniewierki, zaprzestał pisać. Dziś zapewne widzimy, co nam w nim ubyło. Kraj stracił swego oblubieńca i wielkiego obywatela, cierpiący rękę zbawczą, lekarze swego doradcę a nauka znakomitego pracownika. Życie jego to pasmo poświęcenia się dla swoich i pracy nieustannej. Ogół też czcił go, szanował i wielbił. To była jego nagroda. Laurów nie wyłudzał, ale je zdobył, choć jako prawy i czujący swą godność „nie schlebiał możnym, nie głaskał domy bogaczów, nie chwalił ich próżności, egoizmu, głupoty i wszelkiej nędzy moralnej i umysłowej." Pokoleniom młodszym świecił przykładem cnót obywatelskich — był chlubą naszą.

Lekarz.

*) O ile nam wiadomo, Chałubiński przygotował do druku dalszy ciąg prac swoich oraz spisał spostrzeżenia kliniczne. Czyż nie znajdzie się śród lekarzy naszych grono, które by tę spuściznę po mistrzu wydało? *Red.*

BADANIA NAUKOWE.

OSTATNIA PRÓBA OŚWIETLENIA NASZEJ PRZESZŁOŚCI.

II.

Na fakt przyłączenia Rusi Czerwonej (za Kazimierza W.) błędne rzucono światło. Terytoryum to miało dla Polski, zdaniem autora, „nie etnograficzne, lecz tylko *geograficzne*" znaczenie, a Kazimierza „parł" do podboju ziemi halickiej „nietyle interes narodu, ile interes katolicyzmu." Historyk, liczący się przedmiotowo z długim szeregiem sprawdzonych wypadków, musiałby temu zaprzeczyć. Chrobacya wschodnia nigdy nie była murem chińskim oddzielona od zachodniej: rusini z Małopolską w ciągłych zostawali stosunkach (w daleko bliższych, zaiste, chociaż częstokroć wrogich, niż ta z pomorzanami); taka zaś „endosmoza" fizyczna i moralno-umysłowa zacieśniała coraz bardziej węzły naturalnego pokrewieństwa, któremu chyba trudno zaprzeczyć. Strofuje p. Bogusławski Kazimierza Wielkiego za to, że się zrzekł *dobrowolnie* Szlązka i Pomorza, ziem rdzennie-polskich, a swe popędy zaborcze ku wschodowi zwrócił. Oklepane i pióra dziejopisarskiego niegodne skargi! Król ustąpił sąsiadom staropolskich dzielnic; bo był do tego zmuszony: bliższe zastanowienie się nad charakterem zawieranych przezeń układów pokojowych (w Wyszehradzie, Kaliszu) do takiego jedynie doprowadzić może wniosku. Wypierała go stamtąd siła, której sprostać nie zdołał. Równie koniecznym był zwrot ku wschodowi, gdzie niższa cywilizacya korzyła się przed pokrewną a stosunkowo nieco wyższą. Opanowanie Rusi Czerwonej — to nie czyn przypadkowy lub katolicko-tendencyjny; lecz konsekwentny wynik dążności, ujawnionych w sferze politycznej, przez Bolesława jeszcze Chrobrego. Książęta krakowscy, zaczynając od Kazimierza Sprawiedliwego, bardzo wyraźnie do celu zmierzają, a kolonizacya na pogranicznym gruncie jawnie podbojowi drogę toruje. Nie zapominajmy zresztą, że w chwili skonu księcia Bolesława (1340) na spuściznę halicką czyhali, prócz polaków, litwini, węgrzy i mongołowie; żaden monarcha słowiański, krom Kazimierza, nie ubiegał się wtedy o władzę nad ziemią, pozbawioną własnego pana. Gdybyśmy chcieli naśladować pisarza, który występuje ciągle w roli spóźnionego mentora bohaterów przeszłości, rzeklibyśmy, że ostatni z ukoronowanych Piastów *powinien był* właśnie tak, a nie inaczej postąpić, jeśli nie miał rzucić ludu bratniego na pastwę obcym zaborcom; ale historya nie jest nauką o obowiązkach, ani polem do popisywania się z sympatyą lub antypatyą — plemienną, narodową czy też osobistą. Kazimierz, przyłączając do Polski krainę sąsiednią, rozszerzył bezwątpienia widnokrąg świata zachodnio-katolickiego; ale apostołem papizmu bynajmniej nie był. Sam przecie autor przyznaje (str. 83), że „wobec kościoła „król chłopków" trzymał się niepodlegle?"

Wiadomość o sejmie piotrkowskim z r. 1504 jest zanadto ogólnikowa. „Postanowiono, jak utrzymuje autor, że nikt naraz nie może piastować dwu dygnitarstw." Ponieważ p. B., wypowiadając tę myśl, na zwięzłem tylko poprzestał zdaniu, czytelnik, niewtajemniczony w szczegóły ustroju Rzeczypospolitej, nie będzie wiedział, o jakich tu dygnitarstwach mowa. Takiego zresztą *bezwzględnego* prawa nigdy nie wydawano. Biskup np., według statutu, mógł być kanclerzem, wojewoda — hetmanem, a kasztelan krakowski urząd starosty grodowego jednocześnie piastował.

Mówiąc o zmianach, jakie w budowie państwowej wywołał statut radomski (1505), objaśnia autor, że „szlachta *zaczęła dawać* posłom, wybieranym przez siebie, instrukcye, które na sejmie działalność ich krępowały..." Początek przewagi mas szlacheckich nad reprezentacyą stanową dawniejszych nieco sięga czasów. Już bowiem w r. 1468 Izba poselska nie chce przystąpić do rozpraw nad podatkiem, z powodu braku odpowiedniego upoważnienia ze strony wyborców.

Na str. 125 czytamy grzeszącą brakiem ścisłości, informacyę, jakoby Zygmunt August na sobór trydencki wyprawiał „*posłów, między którymi Hozyusz* wybitne zajął stanowisko." Rzecz się miała nieco inaczej: król zamianował wprawdzie dwu przedstawicieli (biskupa Uchańskiego i Wolskie-

go, kasztelana); skutkiem jednak różnych zdarzeń i kolizyj, wysłał w końcu tylko Herburta, biskupa przemyskiego. Hozyusz zaś występował w Trydencie nie jako dostojnik polski, lecz jako kardynał-legat, z ramienia papieża przewodniczący obradom.

Ostatniego z Jagielonów pociąga autor do *„odpowiedzialności* przed historyą“ za to, że *„nie umiał* stać się sternikiem swego narodu, dopraszającego się o wodza i gotowego nawet dać mu dyktaturę w rękę, zgodzić się na reformę w państwie, byle tylko spełnić wielkie dla siebie dzieło z jego pomocą.“ Nasz uczony zapomina, że gdybyśmy nawet (zgodnie z wolą, takich, jak on, historyozofów) zastąpili przedmiotową naukę dziejów subjektywnym wykładem polityki i etyki społecznej, to i wtedy nie moglibyśmy wieszać *in effigie* lub karcić bohaterów przeszłości za niespełnienie tego, czemu sprostać nie zdołali. Sprzeciwiałoby się to poprostu głosowi zdrowego rozsądku.

Autor mylnie utrzymuje, że w akcie „konfederacyi warszawskiej“ (z r. 1573) protestanci polscy „pierwszy raz nazwali *siebie* dysydentami;“ wyrażenie bowiem „dissidentes de religione“ oznacza we wspomnianym dokumencie nie akatolików jedynie, lecz wszystkich uczestników związku, *różniących się* między sobą *w wierze.*

Henryk de Valois, jak sądzi p. B., *„uchylił się* przy koronacyi od przysięgi na artykuł o wolności wiary.“ Leżało to bezwątpienia w zamiarze króla arcy-katolika i idących z nim ręka w rękę biskupów; ale opór przełamali trzej stronnicy reformy: Jan Firlej, Mikołaj Radziwiłł i Piotr Zborowski. Henryk więc do poprzednio złożonej przysięgi następne musiał dodać słowa: „pacem inter dissidentes religione tuebor“ (pokój między różniącymi się w wierzę utrzymam); chociaż, zgodnie z dorzuconym przez biskupa kujawskiego wnioskiem, zawarował i nienaruszalność praw duchowieństwa („salvis tamen juribus ecclesiasticis“).

Trudno zgadnąć, dlaczego p. B., mówiąc o lisowczykach, nie określa ich i nie nazywa po imieniu, lecz wspomina ogólnie, jako o „hufcu jazdy polskiej“ (str. 147). Jeżeli już mamy być pociągnięci do „odpowiedzialności przed historyą“ za udział w tępieniu pobratymców pod Białą Górą (1620), niechaj to przynajmniej winę naszą zmniejszy, iż owa „jazda polska“ była gromadą awanturniczych żołdaków, najemną hałastrą rozbójniczą, od sejmu i władz Rzeczypospolitej zgoła niezależną.

„Colloquium charitativum“ odbyło się nie w 1646, jak autor podaje, lecz w 1645.

Układ ze szwedami pod Ujściem w r. 1655 ocenia dziejopisarz sposobem dogmatycznym, idąc w ślad za swymi poprzednikami, jako owoc zdrady, nieprzyjaznego królowi, Krzysztofa Opalińskiego. Mniemałbym, że dla braku odpowiednich świadectw należałoby się wstrzymać z ostatecznym wyrokiem; odgłosy bowiem ówczesnej opinii publicznej, potępiającej niepopularnego wojewodę-satyryka, mogą być płodem antypatyi osobistej lub stanowej, zręcznie ogółowi narzuconym. „Juwenalis polski“ w czasach tryumfującej reakcyi zbyt ostro przeciw jej propagatorom wystąpił, żeby mu to bezkarnie ujść mogło. W każdym razie niepodobna czynu Opalińskiego równać ze współczesnym krokiem Janusza Radziwiłła. Dygnitarz wielkopolski nie posiadał wcale ani zdolności rycerskich, ani wykształcenia strategicznego, a stał z obowiązku na czele hufców niekarnych, szlachecko-ziemiańskich, które pod względem jakościowym nie mogły iść w parągon z nieprzyjacielskimi. Zresztą nie poddał się bez walki: dwie chorągwie kaliskie i piechota łanowa pod dowództwem Grudzińskiego wytrzymały szczerą, gorącą próbę ognia.

Uwagi o literaturze staropolskiej, któremi autor tu i owdzie przyprószył swój wykład, są przeważnie regestrowe i powierzchowne, a szczegóły pod niewłaściwą czasem nawet mieszczą się epoką. *Psałterz Małgorzaty*, inaczej *Floryańskim* zwany (str. 117), zalicza historyk do zjawisk życia umysłowego, w okresie między r. 1447 a 1506; Wacława z Potoka i Andrzeja Morsztyna, rówienników, rozłącza i pod dwie różne chwile dziejowe podciąga; utalentowanego zaś autora *Lutni* i *Kanikuły* zapisuje do rzędu pospolitych wierszorobów (str. 162). Między mylnemi wskazówkami uwydatnia się w tej sferze wypadków rok *1608* (zam. 1602), jako fałszywa data śmierci Klonowicza, chwast zastarzały, który, pomimo starannego pielenia, coraz to w innym podręczniku wyrasta.

(D. n.).

A. G. Bem.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

7 grudnia.

Stosunek Goethego do polaków i literatury polskiej, studyum Gustawa Karpelesa. — Rozjaśnienie sprawy Meistnera i Hedricha. — Nowa scena ludowa w Warmii i jej donIosłość dla dramatopisarstwa niemieckiego. — Herriga „Drei Jahrhunderte am Rhein.“ — Sudermanna dramat realistyczny „Die Ehre.“

Gustaw Karpeles, były redaktor miesięcznika *Westermann's Monatshefte*, posiadający dziś w Berlinie wybitne stanowisko literackie, należy do najdzielniejszych propagatorów literatury polskiej w Niemczech. Oddawna zajmował się badaniem stosunku Goethego do polaków i literatury polskiej do Goethego. Książka, którą obecnie ogłasza *), jest znacznem rozszerzeniem wykładu, jaki autor o tym przedmiocie wygłosił przed paru laty we Lwowie. Zajęcie się Goethego polakami sięga — według Karpelesa — jeszcze r. 1768, kiedy powstał utwór „Die Mitschuldigen.“ Osobistem i ciepłem stało się zajęcie to od r. 1785, kiedy poeta zaczął odwiedzać wody Karlsbadzkie. On, który pod wpływem Herdera od dawna studyował poezyę słowiańską, a w pieśniach swych, według zdania Mickiewicza, był słowianinem, mówi wprost z zachwytem o polakach, których poznał w Karlsbadzie, a przyjaciołka jego pani Stein i stary Herder dzielą ten zachwyt. Towarzystwo polskie w Karlsbadzie składało się wówczas z ks. Adama Kazimierza Czartoryskiego, z syna jego Adama Jerzego i siostry ks. Izabeli Lubomirskiej, z hr. Rafała Gurowskiego, kilkakrotnie wymienionego w pieśniach Goethego i z hrabiny Ogińskiej, która go interesowała najbardziej. W r. 1790 Goethe zwiedził Polskę; okoliczność to mało znana. W listach pobieżnie tylko wspomina o tym kraju „zajmującym dziesiękrotnie,“ a z podróży przywiózł tylko notatki, odcyfrowane przez Zarnckego, lecz nie opracowane nigdy. Widział Kraków, Wieliczkę i Częstochowę. W r. 1792 zajmował się bardzo żydem polskim, Salomonem Majmonem. W roku 1795, będąc w Karlsbadzie, wzdychał znowu do polki, której nazwiska nie wymienia, lecz którą mieni „milutkim błaznem sarmackim.“ Później obcował ściśle z mineralogiem, hr. Borkowskim, i z ks. Antonim Henrykiem Radziwiłłem, którego umysł wielostronny dozwalał na stosunek prawdziwej przyjaźni umysłowej. Radziwiłł komponuje muzykę do *Fausta* i wystawia go w Berlinie w r. 1820. Do karlsbadzkich przyjaciołek Goethego należała też hr. Anna Jaraczewska. W r. 1823 zaś powstała owa głęboka przyjaźń dla Maryi Szymanowskiej, której istota i sztuka porywały Goethego. Nigdy nie widziano go w towarzystwie tak do głębi wzruszonym, jak wówczas, kiedy żegnając Szymanowską w Weimarze, kończył toast swój słowami: Nie, ona ujść nam nie może, przeszła w naszą jaźń najskrytszą, żyje w nas i chociażby nie wiem co zrobiła, żeby mi ujść, zatrzymam ją w sobie na zawsze. Wiadomo, że Mickiewicz przybył do Goethego z listem od Szymanowskiej. Jego stosunek do Goethego pomijamy na tem miejscu, gdyż czytelnicy *Prawdy* znają go z listów Odyńca. Z Koźmianem układal Goethe plan dramatycznego utworu, którego bohaterem miał być Kazimierz Mnich. Następnie odwiedzili poetę hr. Fredro, brat dramatopisarza i Wincenty Pol, który cieszył się niezwykłą sympatyą starca. Gazeta Spenera doniosła w r. 1829 wiadomość, brzmiącą nieco nieprawdopodobnie, że pewien magnat polski, któremu poświęcono przekład utworów Goethego, przesłał poecie 50,000 złr., które ten ofiarował tłomaczowi.

Szczegółowo i wyczerpująco zajmuje się Karpeles stosunkiem literatury polskiej do Goethego. Przypomina pierwszą krytykę polską o nim (w r. 1818), w której *Fausta* mienią „najniesmaczniejszą tragedyą.“ Poznańczyk Kaulfuss, występując w obronie Goethego, wywołuje długoletnią polemikę w prasie. Brodziński, którego Karpeles wcale trafnie nazywa „polskim Herderem,“ otwiera szereg tłomaczeń utworów Goethowskich, przekładając „Werthera.“

W *Dziadach* upatruje Karpeles znaczny wpływ Goethego; według niego niesłusznie autora *Dziadów* zowią polskim Byronem. I u Słowackiego, Krasińskiego i Garczyńskiego wykazuje wpływ *Fausta*. Pisarzy polskich nęci do Goethego „wrażliwość Werterowska, popęd Faustowski.“ Atoli Goethe, starzec stojący na stanowisku spokoju artystycznego i przedmiotowości, nie posiada sympatyi literatury, rozwijającej się wśród anormalnych warunków. Z bibliografii podanej przez Karpelesa wyjmujemy wiadomość, iż *Faust* przełożony został na język polski 5 razy; również tłomaczone są wszystkie inne utwory Goethego, z wyjątkiem *Wilhelma Meistera.*

Sprawę Meissnera i Hedricha uważać można za całkiem wyjaśnioną po broszurze szwagra poety, powieściopisarza Roberta Byra. Kiedy Byr przywołany został do łoża śmierci Meissnera, ten szczerze mu się zwierzył z tajemnicy. Nie mogę żyć dłużej — mówił — myśliwy goni mnie. Gonitwa ta trwa już od lat wielu, dłużej znieść jej nie mogę. — Dwa razy Meissner spisał dzieje stosunku swego z Hedrichem, oba rękopisy zniszczył. Na łożu śmierci skreślił je pobieżnie na kartce papieru. Obaj byli bez środków: Hedrich nie umiał wyrobić sobie imienia, rękopisy jego latami wędrowały po redakcyach. Obaj chcieli produkować więcej i szybciej. Utworzyli spółkę, której Hedrich był inicyatorem. „W ten sposób zostałem jego niewolnikiem — pisze Meissner. Od tej pory nie miałem ani chwili spokojnej. Źle jest, skoro się w młodości poznaje szatana.“ Meissner stwierdza, że plany utworów wszystkie niemal były jego własnością; honoraryami Hedrich przez długi czas się zadawalał. Lecz pewnego dnia „Jago“ wyrzekł straszne słowa: „To mi nie wystarcza! Pańskie książki zostać muszą mojemi, pański majątek — moim!“ Wówczas już Meissner, obawiając się o mienie swych dzieci, powziął zamiar samobójstwa, które popełnił głównie z tego właśnie względu. Byr zowie pretensye Hedricha przesadnemi. Przytacza jego listy do Meissnera, w których stosunek ich rysuje się korzystnie dla Meissnera. „Czuję się bańką mydlaną — pisze Hedrich — przestań pan dmuchać w słomkę, a przepadłem.“ Byr zwraca się do narodu niemieckiego jako do sędziego. Większość krytyków orzekła, że samoistne utwory Meissnera zabezpieczają mu zaszczytne w literaturze sta-

*) *Goethe in Polen.* Berlin, Fontane, 1890.

nowisko; co do reszty, Hedrich obniżył pozycyę Meissnera, ale jej nie obalił całkowicie. Sympatya ogólna jest po jego stronie.

Mówiąc o „Freie Bühne," zauważyliśmy, że postęp literatury niemieckiej, zrazu objawiający się przeważnie na polu poezyi opisowej, obecnie coraz bardziej przenosi się do dziedziny dramatopisarstwa, zdradzając dążność do zreformowania sceny. Teatrom i dramatem interesują się dziś Niemcy całe, a pisma codziennie zmuszone są zapełniać fejletony sprawozdaniami o próbach reformatorskich na tem polu. Po przekształceniu sceny monachijskiej w duchu dawnej angielskiej, po pierwszych przedstawieniach w „Freie Bühne," przedmiotem rozpraw powszechnych stał się nowy ludowy teatr w Warmii, uroczyście onegdaj otwarty. Powstał on z inicyatywy zamożnego obywatela Franciszka Schöna, a urzędowym dramaturgiem jego jest poeta Hans Herrig. Od r. 1883, kiedy święcono 400 rocznicę urodzin Lutra, pracowano nad urzeczywistnieniem tej myśli. Dziś powstał z datków mieszczaństwa warmijskiego gmach w stylu romańskim, urządzony wewnątrz na sposób sceny Szekspirowskiej, tak, iż scena z amfiteatrem połączona jest szerokimi stopniami. Kurtyny niema, brak też dekoracyj z jednej strony umożliwia oznaczenie nizkich cen wstępu i godniejsze prowadzenie teatru, który nie będzie zmuszony wystawiać sztuk „kasowych," z drugiej—pozwala poecie realistycznemu na częstą zmianę obrazów bez maszyneryi, targających złudzenie. Głównie znaczenie sceny warmijskiej spoczywa w okoliczności, że mieszczaństwo objęło teatr, uwalniając go z rąk spekulantów. „Teatr warmiński"— tak brzmi statut organizacyjny — „ma być instytucyą artystyczną, dla której prowadzenia godność sztuki najwyższem będzie prawem." Spodziewają się, iż hasło oddania sztuki w opiekę mieszczaństwu, uwolnienia jej od kaprysów publiczności i chciwości dyrektorów, obejmie coraz szersze w Niemczech koła i że sceny ludowe, powstając w wielu miastach, znacznie się przyczynią do odrodzenia literatury, specyalnie zaś do stworzenia nowego, realistycznego dramatu niemieckiego.

Utwór Herriga „Trzy wieki nad Renem," napisany na otwarcie teatru warmijskiego, tem chyba zasługuje na miano sztuki ludowej, że pozbawiony wszelkich cech poezyi wyższej: niema w nim ani charakterystyki osób, ani obrazów potężnych lub poetycznych. Za to w berlińskim „Lessingteatrze" wystawiono w tych dniach dramat młodego autora, Sudermanna, który stojąc, podobnie jak Hauptmann „Vor Sonnenaufgang," mimo ludowej swej formy, na poziomie prawdziwej sztuki, odniósł tryumf dawno niewidziany. „Honor" (die Ehre) przedstawia na wzór sztuk Anzengruberowskich starcie dwóch sfer moralnych i umysłowych w łonie rodziny mieszczańskiej. W kamienicy bogatego kupca berlińskiego Mühlingka mieszka drobny rzemieślnik Herneke, którego syn od lat dziesięciu dzielnie prowadzi interesy domu Mühlingka w Indyach. Powróciwszy do Berlina, Robert Herneke rodzinę swą we wstrętnych znajduje stosunkach: starsza siostra jego Augusta wyszła za pijaka szewca, młodsza Alma została ofiarą młodego Mühlingka, z czego rodzice, typowi „biedni ludzie" bardzo są zadowoleni, gdyż korzystają z tego stosunku. Robert zaś kocha córkę Mühlingka, Leonorę. Niema nadziei, by ci młodzi ludzie połączyć się mogli. A kiedy nastąpiło niechybne starcie między Robertem a uwodzicielem siostry jego, młodym Kurtem Mühlingkiem, który jest wybornym typem salonowicza berlińskiego, katastrofa się zbliża: stary Mühlingk wypowiada Robertowi miejsce, a rodzicom jego i Alinie daje 40,000 marek. Daremnie Robert pieni się ze złości: rodzina jego raduje się najszczerszej majątkiem, tak niespodzianie uzyskanym. Przyjaciel Roberta, hr. Tross, wielki handlarz indyjski, chce go uspokoić przedstawieniem, że honor zmienia się według czasu, miejsca i stanu, że jest tylko cieniem naszym, który powstaje w świetle opinii publicznej, że on a rodzina jego mówią różnymi niejako językami. Robert nie zważa na te przedstawienia; już podnosi rewolwer, by zastrzelić Kurta — gdy wtem Leonora, rzucając się między obu i oświadczając, że opuszcza dom rodzicielski, by z Robertem się połączyć, rozwiązuje dramat.

Rodzina Mühlingków nakreślona jest jeszcze według dawnego szablonu teatralnego; za to Hernekowie są postaciami istotnie żywemi, z niesfałszowanym odorem proletaryatu. W ich charakterystyce okazał Sudermann talent rzetelny, wiele obiecujący, po którym spodziewać się można, że z czasem uwolni się całkowicie od więzów konwenansu scenicznego.

Ladawa.

WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI.

III.

Z archeologią na wystawie rozstać się nie tak łatwo, gdyż chcąc dotrzeć do wielkiej sali kolumnowej, trzeba zajrzeć choćby na chwilę do starych monet i pieczęci, starych druków i opraw książkowych, rzadkich sprzętów i naczyń kościelnych.

Emeryk hr. Czapski ze Stańkowa przysłał 409 sztuk monet i medali polskich od Zygmunta Starego do czasów Stanisława Augusta. Jest to tylko część jednego z najbogatszych i najpiękniejszych zbiorów w kraju, zarówno pod względem doboru, jako też ilości okazów. Zbiór ten znany jest numizmatykom całej Europy.

Na uwagę zasługuje też kolekcya medali historycznych, odnoszących się do dziejów dawnej Polski sztuk 226, jako też medali i medalików, dotyczących kościoła katolickiego w dawnej Polsce, sztuk 200. Są to zbiory znanego miłośnika tego działu pamiątek, d-ra Rewolińskiego z Radomia. Ciekawe są również talary, półtalary i szóstaki p. Szaniawskiego; kolekcya miedzianych monet od Jana Kazimierza do zamknięcia mennicy w Warszawie p. Soubise-Bisier; ruble czyli grzywny i monety litewskie z końca XIV-go w. p. J. Weyssenhofa; pieczęcie od czasów Konrada księcia mazowieckiego do Zygmunta Starego p. Stronczyńskiego; pieczęcie królewskie, dygnitarskie oraz biskupie różnych kapituł i urzędów od 1250 do 1800 r. p. Edmunda Diehla; zbiory orderów, gwiazd i innych oznak zasługi hr. Czapskiego; godła wolno-mularskie polskie — słowem każdego zajmuje wszystko w tym dziale, cokolwiek ma związek z przeszłością naszą.

Nęcą bardzo oko i podrażniają ciekawość zwiedzających stare w pięknych oprawach druki z prywatnej książnicy Zygmunta Augusta, wystawione między innymi okazami przez ordynacyę hr. Zamoyskich; rzadkie książki prof. Przyborowskiego, Radziwiłła, Strzałeckich, Giejsztora; lecz opisem tych pięknych pierwocin naszego umysłowego dobytku uwagi czytelnika trudzić nie będziemy.

Nie wdamy się również w szczegółowy opis sprzętów i naczyń kościelnych, gdyż nagromadzone na wystawie okazy dostarczyćby mogły obfitego materyału do poważnego studyum nad sztuką średniowieczną i nowszą w Polsce. Niepodobna jednak pominąć milczeniem takich zabytków, jak: stuła złotem haftowana, przedstawiająca świętych, z napisami greckimi, pochodząca z Kruszwicy (w. X); ołtarzyk polowy srebrny własnoręcznej roboty Zygmunta III, monstrancya złota w stylu gotyckim z XV-go w., lub Chrystus na osiołku, zabytek rzeźby w drzewie z XIV w.

Zachęcająco bardzo wygląda umieszczona obok wytworna jubilerszczyzna starożytna: artystyczne wachlarze, tabakierki emaliowane i mnóstwo miniaturowych główek kobiecych, które śmieją się do ciebie wesołością zeszłego wieku. Pilno nam zaś do wielkiej, wspaniałej sali kolumnowej, gdzie nagromadzono tyle okazów, że ani pomyśleć, byśmy choć cząstkę ich opisać mogli w tej krótkiej notatce sprawozdawczej.

U brzegu tej sali zarząd pałaców Cesarskich umieścił najpiękniejsze meble, wazony świeczniki i bronzy z Łazienek i Zamku królewskiego. Nieborów — przysłał cenne pamiątki rodziny Radziwiłłowskiej, a między innemi głowę Nioby, antyk, za który anglicy ofiarowują podobno 60 tysięcy rubli. Na końcu znów sali Wilanów urządził „komnaty Maryi Kazimiery," zaś ordynacya hr. Krasińskich ustawiła z jednej strony sali, pośrodku, może najpiękniejszą w kraju zbrojownię. Po bokach mieszczą się całe szeregi wspaniałych zegarów, świeczników, misternych srebrnych zastaw stołowych, sprzętów miedzianych i żelaznych, zapasy broni siecznej i palnej. Po drugiej stronie, przez całą długość sali, bądź na półkach, bądź w gablotkach rzadkie okazy sztuki ceramicznej, przeplatane pasami litymi, tkaninami staremi i niezwykłej piękności makatami polskiemi. Śród rzeźb z drzewa i kości słoniowej znajduje się 12 talerzy emaliowanych limuzyńskich (Limoges) z nazwami miesięcy i popiersiami różnych panujących, ocenionych na 100 tysięcy rubli!

W przyległej obok niewielkiej komnacie, między zbiorami p. Cypryana Lachnickiego, znajduje się emalia limuzyńska z czasów Henryka II i płaskorzeźba srebrna wyszła z pod ręki Benvenuta Celliniego. Piękne bardzo, w tymże pokoju, są okazy sztuki ceramicznej ze zbiorów p. Mathiasa Bersohna, gromadzone z wielką starannością, zamiłowaniem i znawstwem przedmiotu. Na wyróżnienie zasługują tam z rzeczy polskich kafle i dzbany gdańskie.

Pokoik p. Mieczysława Urbańskiego ozdobiony przeróżnemi makatami, zegarami bronzowymi, piękną ceramiką ruską i polską oraz ramami pokrytemi bogatą materyą starą, zamyka salony wystawy na pierwszem piętrze, przenosząc nas wyżej, gdzie właściwie okazy sztuki nowożytnej zastosowanej do przemysłu znaleźć się powinny.

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wystąpiła i w tym roku z szeregiem nowości gwiazdkowych. Znajdujemy na jej stole naprzód „Zwierzęta w ślicznych obrazkach i wierszykach M. Gawalewicza;" dalej opowiadanie historyczne z końca XI wieku przez autora „Bitwy pod Raszynem" p. t. „Chrobry" (z obrazkami); powieści z dawniejszych i nowszych czasów (ilustrowane) dla młodego wieku p. t. „Odgłosy gór i dolin," napisane przez zmarłą na tem polu a niedawno zmarłą M. J. Zaleską; tejże autorki krótkie powiastki i bajeczki dla młodszej dziatwy (z rycinami) „Iskierki," oraz naśladowanie według Prévosta-Duclosa przygody podróżników w Afryce środkowej (z rycinami) p. t. „Gwiazda Sudanu." Znana autorka „Mapy poglądowej" Jadwiga Woycicka opracowała powieść dla młodzieży „Mój dobroczyńca," a Zuzanna Morawska powieść historyczną z XIII w. „Giermek książęcy." Oba te utwory są również ilustrowane.

Za szczęśliwy pomysł uważamy wprowadzenie młodych czytelników w świat nowy, który obecnie zajmuje również dojrzałych, do wnętrza Afryki, a byłoby bardzo pożądanem, gdyby ktoś w tym celu spożytkował odkrycia Stanleya i Emina, które zapewne niedługo będą ogłoszo-

ne w sprawozdaniach tych badaczów. Materyał przez nich zdobyty w stosownem opracowaniu i zaciekawi i nauczy dziatwę.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wystawa zimy. — Ubóstwo w jej fałdach. — Ludzie, których on uszczęśliwia. — Motyle zimy. — *Łodzianin* i kilka cyfr z niego. — Polski Manchester. — W jakim kierunku należałoby zreformować kalendarze. — Prospekty. — Kochańska śpiewająca nam bez rabatu. — Z Cześnika Czesław Jankowski. — O przekładach Heinego.

Trudno zaprzeczyć, że ostatnie nasze zimy są piękne. Naturalnie nie w Warszawie i wogóle nie w mieście — najprozaiczniejszej siedzibie ludzkiej, od której przyroda — jeśli jej ludzie nie wypędzą — sama ucieka. Bo i cóż ona ma robić w długich i ściśniętych szeregach murów, na stosach cegieł i rzędach kamieni? Okrywa je niebem, zawiesza nad nimi słońce lub gwiazdy a inne swe uroki wynosi na pola i do lasów. Tam dopiero urządza bogatą wystawę wszystkich pór roku, tam również rozkłada cudowne szaty zimy. Ludzie południa nigdy nie widują tych niepokalanie białych opon, okrywających rozległe równiny, tych wspaniałych frendzli zdobiących drzewa, tych śnieżnych puchów zaścielających lasy, tych szronów, okiści i olśniewających blasków, które zima odsyła słońcu. A jednakże te obrazy wyniosłego chłodu natury są równie godne zachwytów człowieka, jak obrazy jej gorącej namiętności w pasach przyzwrotnikowych. I gdyby owoce pracy naszej nie były tak skromne, z pewnością narody z południo-zachodu jeździłyby na północo-wschód dla obejrzenia jego dzieł i — zimy.

Jak rzekłem — od lat kilku stroi się ona wytwornie. Ale w fałdach wszelkiego zbytku a więc i tego kryje się robak nędzy. Zima jest okresem niedoli dla wszelkiego ubóstwa, bo zmniejsza jego zarobki, a zwiększa potrzeby. Rok obecny dodał jeszcze do tego nieurodzaj. Inteligencya wiejska jest wymowną — więc jej skargi słychać; ale lud jest niemy — więc jego narzekania do uszu naszych nie dochodzą. Nie znaczy to, ażeby ta sama klęska, która pod dachy dworów wprowadziła niedostatek, pod strzechami chat wyprawiała uczty. Włościanie znaleźli się również w jej strasznym uścisku. Cierpi gospodarz drobny, cierpi najmita, którego dwór odprawia, bo niema czem wyżywić, cierpią wszyscy, którzy bezpośrednio ssą z piersi ziemi.

Po za poetami wszakże i myśliwymi znalazłem jeden gatunek ludzi zadowolony z zimy. Są to mianowicie — ktoby uwierzył! — konduktorzy tramwajowi. Podczas gdy jednemu z nich wyrażałem moje współczucie, on rzekł mi:

— Ciężka to, proszę pana, służba, bardzo ciężka. Od 7 rano do 11 wieczorem—z przerwą godzinową na obiad— piętnaście godzin ciągłej jazdy i stania, na odkrytej platformie! Zaledwie co ósmy a czasem dziewiąty dzień mamy wolny. Ale jak nadejdzie zima, to trochę lżej...

— Lżej? — spytałem zdziwiony.

— A tak: chociaż musimy również jeździć po 15 godzin, ale mamy częstsze odpoczynki.

— Zarząd jest miłosierniejszy zimą...

— E nie, tylko nas więcej, a koni mniej, bo zamiast jednego trzeba dwa zaprzęgać do tramwaju...

Jak ta natura wszystko obmyśliła mądrze! Ponieważ konduktorowie prawdopodobnie nie wytrzymaliby 15 godzinnych kursów z odpoczynkiem co 10 dni podczas mrozów i zamieci, więc zasypuje szyny śniegiem i zmusza zarząd tramwajów do mimowolnego miłosierdzia nad służbą.

Właściwie do wielbicieli zimy należałoby również zaliczyć (szczęśliwych) wydawców kalendarzy i książek gwiazdkowych. Jest to bowiem dla nich pora „żniwa.“ Dopuściłby się wysokiej nieprzyzwoitości ten, ktoby poddał ścisłej rewizyi literackie pióra tych zimorodków. Zapewne, nie należy do świetnych porównań, kiedy poeta mówi: „twarz tak przezroczysta, jako w majowy wieczór niebiańskie błękity,“ bo „twarz przezroczysta“ nie jest ani piękna, ani podobna do „niebiańskich błękitów w majowy wieczór,“ lub: „złote włoski słońca promieniom służą miast lusterka;“ nie należy namawiać księżyca, ażeby spojrzał na świat w dzień i zobaczył „szczęście — rzadko, miłości — nic prawie“ a równocześnie twierdzić, że jednak dobrze żyć na świecie;“ nie należy pisać: „drwinów,“ „drętwa“ (zdrętwiała) itp. — wszystko to prawda; ale z drugiej strony nie wypada takich uchybień wytykać kalendarzowi. To też otwieram *Łodzianina* (na r. 1890) przed czytelnikami w tem miejscu, w którem on jest ciekawy i pouczający — w dziale informacyjnym. Znajdujemy tu między innemi spis fabryk i zakładów przemysłowych w Łodzi. Jest ich ogółem około 300 — cyfra bardzo poważna. Ale cóż to za wymowna litania nazwisk! Jestem pewien, że gdyby spisać listę tego rodzaju zakładów któregokolwiek z fabrycznych miast niemieckich, nie przypomniałaby ona mniej tego kraju, w którym Łódź się znajduje. Śród tych 300 firm naliczyłem zaledwie 14 takich, które według wszelkiego prawdopodobieństwa należą do „rdzennie krajowych.“ Zresztą same — *ery,* — *many,* — *einy,* — *ele;* a jeśli nawet znajdzie się śród nich jakiś — *ski,* to z imieniem: Berek lub Pinkus. Ten — o ironio!— „polski Manchester“ objawia istotnie znamiona siły. Chociaż nie przy wszystkich firmach podano odpowiednie objaśnienia, narachowałem w nich 29,206 robotników. Niektórzy z fabrykantów posiadają ogromne ich zastępy: Scheibler 5,755, Poznański 4,000, Heinzel 1,641 — i tak dalej. Jeśli nam to sprawia jakąś przyjemność, obwijajmy sobie prawdę w wełnę i bawełnę i twierdźmy, żeśmy się stali ofiarą ekonomicznego zaboru niemiecko-żydowskiego; z tej wełny wszakże i bawełny ciągle wyłazić będzie fakt, że nasze zdolności przemysłowe uległy niedorozwojowi. Bo gdzie jest w świecie drugi kraj, któryby miał taką Łódź — główne ognisko przemysłu, nietylko z pochodzenia, ale i z istoty swojej obce? Jeżeli w ciało człowieka wpadnie kula, która otoczy się w niem torebką i zostanie, to będzie ona względem organizmu czemś podobnem do „naszej“ Łodzi. Gdyby z *Łodzianina* wyciąć cztery kartki, zawierające ów spis, dać je anglikowi i kazać mu zgadnąć, gdzie mieści się to gniazdo przemysłowe — o ile skądinąd by nie wiedział, ani by mu na myśl nie przyszło, że ma przed sobą „polski Manchester.“ A uśmiałby się też serdecznie po rozwiązaniu mu zagadki!

Głównym dochodem a więc i głównym celem kalendarzów są ogłoszenia płatne, do których dla okrasy i lepszego pozoru dodaje się trochę rymów, kilka powiastek i artykułów „naukowych,“ a wreszcie wiązkę informacyj i adresów. Odstępstwa od tego szablonu bywają niezmiernie rzadkie. Tymczasem ponieważ wydawnictwa tego rodzaju wpływają do literatury naszej corocznie wielką falą, należałoby pomyśleć o nadaniu im większej użyteczności, niż dotychczas. Mojem zdaniem nie powinny one skupiać się w Warszawie, gdzie z natury rzeczy muszą być puste i jednorodne, ale rozproszyć się po prowincyi, wytworzyć szereg jej organów. Warszawa jest w stosunkach swych znana i ciągle badana przez kilkadziesiąt pism, które w niej nurkują. Natomiast prowincya przedstawia tajemnicze pole poszukiwań dla... Stanleyów. Nie znamy w wielu jej okręgach ani ilościowego i jakościowego zaludnienia, ani poziomu oświaty, ani wytwórczości przemysłowej, ani ruchu handlowego... We wszystkich tych kierunkach mogłyby nas objaśniać systematycznie kalendarze miejscowe i okoliczne. Byłoby to sprawozdania roczne, bardzo pouczające i dla ogólnych wywodów społecznych i dla szczegółowych swych zadań. Dziś, jako spekulacye, jako zlepki wierszy, powiastek, informacyj i ogłoszeń zwykle nie mają wielkiej lub żadnej wartości, a czy to nie jest wysoce zabawnem, że mieszkaniec z Hrubieszowa lub Ostrołęki kupuje sobie kalendarz warszawski, który jest dla niego przewodnikiem po... Warszawie? Czy hrubieszowiacy, ostrołęczanie, radomianie nie powinni mieć swoich własnych? Czy nie bardziej przydałby im się spis gospodarstw ziemskich, fabryk, gmin, parafij itd. w okolicy, aniżeli spis domów w Warszawie? A ile razy skorzystałoby z takich promyków główne ognisko! Jeżeli dziś wydawca, kupiec, przemysłowiec, agent chce coś polecić uwadze szerszych kół, niema dróg dotarcia do tych, o których mu chodzi. Przypuśćmy np. że ktoś wyrobił produkt lub wydrukował książkę, które chciałby nastręczyć ziemianom; co zrobi? Musi albo zamieścić we wszystkich poczytniejszych pismach ogłoszenie albo dołączyć do nich prospekt — w każdym razie zapłacić kilkaset rubli. Dodać trzeba, że często względy konkurencyjne zamykają nawet tę drogę, że wydawcy odmawiają przyjęcia prospektów wytwarzających im współzawodnictwo, że adresy prenumeratorów są tak ukrywane w kantorach redakcyjnych, jak strzelby do zabijania fok. Przed kilku laty jeden z nowych dzienników, któremu inne nie chciały dołączyć prospektu, rozesłał go w paczkach po kilka egzemplarzy bez adresów na wszystkie stacye pocztowe Cesarstwa i Królestwa z nadmienieniem na opasce, ażeby zawiadowcy wręczyli odbiorcom innych pism. Ile tysięcy tych kart przepadło i ile pieniędzy zostało zmarnowanych — kto obliczy!

Przemawiam za ułatwieniem stosunków między wydawcami a ogółem, chociaż przelatuje koło mnie — jak i koło Was czytelnicy — sznur prospektów, niestanowiących najprzyjemniejszego widoku. Z pod każdego niemal wygląda złośliwie uśmiechnięta twarz La Rochefoucaulda, który ciągle powtarza: interes przebiera się we wszystkie postacie, nawet w postać bezinteresowności. A już czasem śród tych zimowych motylów zdarzają się tak wstrętne, tak bezczelne, że po dotknięciu ich czujesz potrzebę umycia rąk. Zwłaszcza spotkałem jeden, który przechodzi wszystko, co najordynarniejszy *Pflanzman,* stojący przed budą z widowiskami nakłamać może. Och, jak człowiek bywa nieraz szpetnym!

Pani Sembrich, *ci devant* Kochańska, odwiedziła nas i zaśpiewała nam znowu prześlicznym swym głosem. Żadnego rabatu ona nam nie robi, płacimy według cennika europejskiego i podziwiamy ją również według zwyczajów europejskich nawet po za sceną i estradą. I tym razem wybadaliśmy ją o rozmaite „poglądy na sztukę.“ A jednakże gdyby kiedyś narodziła się na świecie litość, któraby zakazała reporterom „interviewać“ tenorów, soprany, basy, gardła i palce — same te gardła powinnyby zaśpiewać a palce zagrać hymn dziękczynny. Bo niewiele jest widoków równie okropnych i rozczarowywujących, jak te „interviewy.“ Wolałbym słyszeć lub czytać rozmowę szczygła z wroną, trzmiela z wiewiórką, lisa z sarną, niż sprawozdawcy dziennikarskiego ze śpiewaczką. Gdybym osadzony został na całe życie w celi więziennej i gdyby mi pozwolono czytać tylko albo takie rozmowy albo dzieła p. Jeske-Choińskiego, powiedziałbym: dajcie Choińskiego.

Lub wreszcie artykuły p. Czesława Jankowskiego. Już dziś możemy czytelnikom

naszym oznajmić, że to ten rycerz pod przyłbicą Cześnika przebił gęsią kopią w *Kraju* pierwszy tom *Wyboru pism* Heinego. W *Tygodniku ilustrowanym* bowiem, gdzie wystąpił już bez maski, powtórzył ową radę, którą widocznie uważa za perłę swych rozmyślań, że „całe przedsięwzięcie jest z gruntu chybione i należałoby rzecz całą rozpocząć na nowo.“ Autor prawdopodobnie dlatego wypowiedział tę prawdę na dwu miejscach (w *Kraju* i *Tygodniku*) i pod dwiema postaciami, ażeby ona nabrała większej wagi. W podobny sposób może sobie ktoś zapalić świeczkę, postawić ją między kilkoma zwierciadłami i być przekonanym, że ma pokój rzęsiście oświetlony. W p. Jankowskim, jako poecie, byłby to nawet dowód bujnej imaginacyi. To, co on mówi w *Kraju* jest grudką lekkomyślnego pigmentu, to, co pisze w *Tygodniku*, jest roztworem wodnym tej grudki, a ponieważ ani w jednej, ani w drugiej naganie nie uczy, jak należy przekładać Heinego, więc od jego słów zwróćmy się do czynów i zobaczmy, jak on wykonał swoją „rzecz,“ której nie trzeba „rozpoczynać na nowo.“ Bo i p. Jankowski przetłomaczył niedawno Heinego („Nową wiosnę“), a chociaż p. Gomulicki powiada, że niektóre wdzięki tego przekładu „uszłyby zaledwie w reporterskiej prozie,“ (*Kur. warsz.*) to nas nie powinno odstraszać. Nie traktuje przez ramię innych ten, kto się nie czuje od nich wyższym. P. Jankowski nie jest Bonapartem z poddasza, krytykującym zasłużonych wodzów, ale Napoleonem, który już wygrał bitwę. Sam zaś Heine, przekłady jego utworów i wogóle sprawa tłomaczeń poetyckich zasługuje na to, ażebyśmy przy sposobności pomówili o tym przedmiocie szczegółowo. Ale nie dziś — bo już za późno. Odłóżmy więc sobie pogadankę o tym przedmiocie do numeru następnego.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wiadomości administracyjne. Według przepisów, opracowanych przez ministeryum spraw wewnętrznych, otwieranie kas pożyczkowych będzie nadal dozwolone dopiero po złożeniu przez ich właścicieli 30,000 rs. kaucyi. Takąż samą sumę obowiązane będą złożyć istniejące już kasy.

— Ministeryum sprawiedliwości zajmuje się opracowaniem przepisów, określających ściśle te wypadki, w których przy prowadzeniu spraw mogą być użyte t. zw. pełnomocnictwa ogólne. Przepisy te mają na celu zapobieganie obchodzeniu wydanego niedawno rozporządzenia o przyjmowaniu do liczby adwokatów przysięgłych osób niechrześciańskiego wyznania.

— Zaprowadzone od 13 paźdz. 1886 r. w gub.: petersburskiej, włodzimierskiej i moskiewskiej przepisy o wzajemnym stosunku fabrykantów i robotników, postanowiono od przyszłego roku zaprowadzić w wielu innych guberniach, a pomiędzy niemi w warszawskiej i piotrkowskiej. Czuwanie nad fabrykami należeć będzie do obowiązków komisyj fabrycznych, urzędników inspekcyi i policyi.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wyda rozporządzenie, zabraniające żydom prowadzenia handlu w dni świąteczne i niedzielne.

— Nowe przepisy o utracie poddaństwa już zupełnie ułożone. Według nich utraca poddaństwo ruskie: 1) kto przyjął zagraniczne bez specyalnego na to pozwolenia; 2) kto wszedł do służby zagranicznej cywilnej lub wojskowej; 3) kto nie wrócił do kraju w czasie oznaczonym mimo wezwania; 4) kto się nie stawił na wezwanie sądu w sprawie karnej. Kobiety: a) utracają ruskie poddaństwo przez zaślubienie cudzoziemca; b) o uwolnienie od poddaństwa mogą prosić wdowy i rozwódki oraz panny pełnoletnie za zgodą rodziców; c) żona uwolnionego od poddaństwa może być również uwolniona jedynie za własną zgodą; d) uwolniona razem z mężem, w rok po jego śmierci lub rozwodzie może znowu odzyskać poddaństwo ruskie.

— Stowarzyszenia dobroczynne podlegać będą kontroli rządowej.

Wystawy. W Moskwie w jesieni r. o. otwartą będzie wystawa gospodarstwa mlecznego.

— W Bernie morawskiem otwartą będzie w r. p. wystawa powszechna marek.

— W Kolonii w r. p. jednocześnie z wystawą wojskową odbędzie się rolnicza.

— W Lipsku otwarto wielką wystawę afrykańską.

— W Berlinie zamknięto ze znacznym niedoborem wystawę wynalazków, zabezpieczających robotnika od wypadków.

— Galicyjskie Towarzystwo łowieckie, łącznie z Wł. hr. Dzieduszyckim urządza galicyjską wystawę łowiecką, jako osobny oddział na przygotowywanej w Wiedniu na r. 1890 wystawie rolniczo-leśnej.

— „Przegląd pracowni malarskich“ otwarto d. 10 b. m. w salonie Krywulta.

Kasy. Kasa pożyczkowa w Kaliszu ma istnieć dla jego stałych mieszkańców: przemysłowców, kupców i rzemieślników.

— Fabrykant warszawski, Kopie, wniósł do zarządu Muzeum przemysłu i handlu projekt ustawy kas emerytalnych, rzemieślniczych i szpitalnych.

Handel. Rząd Stanów Zjednoczonych wydał bardzo surowe rozporządzenie celem ukrócenia nadużyć kupców niemieckich, wysyłających tandetę do Ameryki.

— *Kur. warsz.* donosi, iż projekt przeniesienia z Lipska do Warszawy jarmarku futrzanego znalazł bardzo przychylne poparcie u kupców moskiewskich, stanowiących na tych jarmarkach największą liczbę dostawców. Interesowani mają poczynić odpowiednie starania.

— Wywóz cukru z Rosyi do Japonii znacznie wzrósł w ostatnich czasach. W r. 1887 na sumę 6 milionów dolarów, w 1888 — przeszło 7 mil.

Przemysł. Z Łodzi do Tyflisu wyjechało przeszło 70 robotników do fabryk tkackich.

— Fabryka broni i patronów powstaje w Łodzi.

— W okolicach Łodzi powstaje garbarnia.

— W Częstochowie wielką przędzalnię wełny zakłada towarzystwo fabrykantów z Roubaix.

— Ziemianie polescy pod przewodnictwem marszałka szlachty wołyńskiej postanowili otworzyć towarzystwo akcyjne w celu eksploatowania bogactw mineralnych polesia wołyńskiego.

— Towarzystwo oświetlenia miast prowincyonalnych gazem, ma powstać. Założy ono podobno na początek fabryki gazowe w Kielcach, Piotrkowie, Radomiu, Tomaszowie Rawskim i Zgierzu. W przedsiębiorstwie tem mają wziąć udział przeważnie kapitaliści zagraniczni.

Zjazdy. W Moskwie odbędzie się zjazd antropologiczny.

— Zjazd górniczy w Charkowie zamknięto.

Koleje. Według obliczeń na mocy dotychczasowego powodzenia dochód kolei Zakaspijskiej do 13 stycznia 1890 r. nietylko pokryje wydatki, lecz da przewyżkę.

— Od kilku tygodni trwa ruch prawidłowy na nowej gałęzi kolei Połud.-Zachod. pomiędzy stacyą Wapniarka a cukrownią trościaniecką (40 wiorst).

— Stacye doświadczalne materyałów używanych do eksploatacyi kolei żelaznych zostaną otwarte we wszystkich okręgach kolejowych.

Laboratoryum miejskie w r. p. otwarte będzie w Warszawie do rozbioru produktów, przywożonych na targi miejskie, tudzież artykułów spożywczych. Na sam zakład i płacę asystentom przy dr. Bujwidzie przeznaczono 4,525 rs.

Apteczki. W czasie zimy we wszystkich pociągach osobowych znajdować się będą apteczki podręczne pod opieką nadkonduktora.

Okólnik. Departament lekarski odwołał się do wszystkich tutejszych urzędów lekarskich o dokładne zbieranie i przesyłanie wszelkich wiadomości, dotyczących źródeł mineralnych, stacyj klimatycznych, zakładów kąpielowych itd. pod względem szczególnych własności, położenia, tudzież klimatycznych i meteorologicznych warunków.

Pracownia chemiczno-hygieniczna, należąca do urzędu lekarskiego m. Warszawy, wkrótce będzie znacznie powiększoną.

W komitecie ministrów roztrząsany będzie projekt zmiany porządku uznawania za obłąkanych osób, pochodzących ze stanu szlacheckiego.

Szkoły. W Waszyngtonie otwarto uniwersytet katolicki.

— Uniwersytet warszawski liczy w r. b. 1,280 studentów (o 67 mniej, niż w r. p.).

— W obrębie państwa ruskiego istnieje 1,500 szkół, połączonych z warsztatami rzemieślniczymi.

— Z inicyatywy ministeryum dóbr państwa postanowiono rozpowszechniać wiadomości z agronomii śród nauczycieli wiejskich.

Komunikacye. Jest projekt regulacyi Dniepru i zniesienia „porohów.“ Nadto będą regulowane: Wisła, Muchawiec i Niemen.

— Most ponad Firth of Forth w Szkocyi, na miejsce zawalonego przed kilku laty, w całości ukończono. Ma to być jedna z najwspanialszych prac inżenierskich bieżącego wieku.

Bibliografia. A. Kraushar, *Sprawa Zygmunta Unruga*, 2 tomy, Kraków.

Zmarli. Mieczysław Bierzyński, w Kielcach, adwokat przysięgły. Ur. 1857 r. Pisywał do *Wędrowca*, *Ekonomisty*, *Gaz. polskiej*, *Kur. warszawskiego*, *Nowin* (za redakcyi Prusa). Napisał kilka nowel pod pseudonimem Czernedy.

— William Allingheim, poeta irlandzki, radaktor *Fraser's Magazine.*

— Fryderyk Pesty, w Budapeszcie. Dziejopisarz węgierski.

— Julian E. Tenison-Woodt, geolog i podróżnik angielski, w Sydney.

— Ludwik Anzengruber, poeta dramatyczny, autor sztuk ludowych, w Wiedniu. Ur. 1839 r.

ŁYŻWY

wszelkiego rodzaju i gatunku
POLECAJĄ
KRYSZTOF BRUN I SYN
plac Teatralny, Nr. 466.
w Warszawie.

Cenniki ilustrowane na żądanie franco i gratis.

Handlującym ustępujemy **znaczny rabat.**

MAGAZYN I FABRYKA WYROBÓW JUBILERSKICH
M. MANKIELEWICZ,
W GMACHU TEATRU POD FILARAMI

Magazyn posiada stale na składzie bogaty wybór Brylantów, Szafirów, Rubinów i Pereł nieoprawnych, wielki wybór Biżuteryi brylantowej, złotej i srebrnej; najgustowniejsze i jedyne w swoim rodzaju **srebrne** Papierośnice, Zapalniczki, Noże do papieru, Rączki do lasek, Puhary, Kubki, Ecritoiry, Ołówki, Obsadki do piór i t. p.

Fabryka wykonywa najwytworniejsze obstalunki w zakres jubilerstwa, złotnictwa i grawerstwa wchodzące, ku czemu posiada bogaty assortyment rysunków i modeli.

Specyalność: **Albumów** pamiątkowych od skromnych do najwytworniejszych, oraz Papierośnic i t. p. przedmiotów, bogato dekorowanych złotem, srebrem i emalią.

Nowe nadzwyczaj tanie wydanie
POEZYJ
ADAMA MICKIEWICZA
W 4-ch TOMACH,
poprzedzone życiorysem skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego i ozdobione portretem autora rysunku Horowitza.

Sprzedaje się we wszystkich księgarniach miejscowych i na prowincyi.

Cena 4-ch tomów **kop. 80,**
w oprawie ozdobnej w płótno angielskie **rs. 1 kop. 50.**

Za przesyłkę w obrębie Królestwa po kop. 20, w guberniach bliższych Cesarstwa po kop. 40, a w dalszych po kop. 60 od egzemplarza dołączać należy.

Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Br. Rymowicza w Petersburgu.

Podana przez SMOŁĘ przechwała, jak kilkakrotnie wykazałem, jest tylko BLAGĄ, opartą na własnej reklamie dla złowienia świeżego wspólnika.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY ŚRODEK
„EXSICCATOR"
OSUSZA WILGOĆ, ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYB KA i t. p. — BROSZURKA ILUSTROWANA BEZPŁATNIE.
POSZUKUJĘ AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanemi smołami, vel gudronitami.

BINOKLE, OKULARY, LORNETKI
w wielk. wyborze i najlepszym gatunku
☞ **o 25% taniej** ☜
W MAGAZYNIE OPTYCZNYM
JULIANA DREHERA, — Szpitalna 6.
Obstalunki z prowincyi za Nachname.

S. Hiszpański
Szewc męzki i damski,
poleca glazurę i lakier do obuwia męzkiego i damskiego. Lakier używanym być może do obuwia szuwaksowego, następnie zmywanym do powtórnego szuwaksowania lub lakierowania. Jako produkt dostawcy dworu Królowej angielskiej, wymaganym jest za granicą przez najwyższe sfery, jak i osoby praktyczne a eleganckie. **Bielańska, 6.**

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.

ROWERY od rs. 125—250.
BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

„NA RATY"
Lustra
sprzedaje miejscowym i na prowincyę
Fabryka zwierciadeł
MAURYCEGO Silberberga
8, Rymarska, 8.

UWAGA. Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na **dokładny adres** z powodu istniejących firm podobnych i na **umieszczony w wystawie** napis **„Na raty."**

Nowo otworzony
SPECYALNY MAGAZYN
oraz Pracownia Ubiorów
i BIELIZNY DZIECIĘCEJ
A. SIERZPUTOWSKIEJ
WARSZAWA, ul. Czysta Nr. 8.
Poleca JW. i WW. Rodzicom wielki wybór ubrań gotowych dla dzieci, oraz bieliznę, a także wyprawki dla niemowląt. Robota wykończona podług najświeższych modeli z możliwą akuratnością po cenach umiarkowanych. Prócz tego przyjmuje roboty z materyałów powierzonych, które wykończać będzie na czas umówiony.

Najnowsze Książki
Czytelnia
K. PASZKOWSKIEJ
14, Chmielna, 14.

Czytelnia dla Kobiet
36, Nowy-Świat, 36,
Wybór Książek Naukowych
i Beletrystycznych.

GRY towarzyskie. ZABAWKI. ZAJĘCIA PEDAGOGICZNE. KSIĄŻKI DZIECINNE
poleca
A. J. Wiśniakowski
w Warszawie
Trębacka - róg Nowo-Senatorskiej 2.
Uprasza się o żądanie Katalogu, który się wydaje GRATIS.
Pp. Handlującym rabat.

Na podarki
Nowości na 1888/90 r.
Arytmetyka w obrazkach.—Choinka z rachunkami. Kwiaciarka. Modniarka. Wieża Eiffla. Przystrajanie obrazków. Maszynka do szycia. Wyścigi z przeszk. 7 gier towarz. Kalendarzyk obrazkowy na r. 1890. **Kolor. tablice poglądowe.**

GEBETHNER I WOLFF
40, Krakowskie-Przedmieście, 40.
Największy w Kraju
SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

Wynajem instrumentów.

Wynajem instrumentów.

☞ SPRZEDAŻ NA RATY ☜

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Декабря 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. Śl. A. Świętochowski